

ALFRED HITCHCOCK

TAJEMNICA ZAMKU GROZY

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: ANNA IWAŃSKA)

Wstęp Alfreda Hitchcocka

- Ustawicznie coś przedstawiam. Przez wiele lat były to moje filmy - trzymające w napięciu, pełne tajemnic historie. Teraz przyszło mi przedstawić trzech chłopców, którzy zważają się na Trzema Detektywami, rozbijają się po okolicy ozdobionym złoceniami rolls-royce'em i rozwiązują wszelkiego rodzaju zagadki i tajemnice. Niedorzeczność, prawda?

Szczerze mówiąc, wolałbym nie mieć do czynienia z tymi chłopcami, ale nieopatrznie coś przyrzekłem, a jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa, nawet jeśli zostało ono, jak zobaczycie, wymuszone podstępem.

A więc do rzeczy. Trzema Detektywami są Bob Andrews, Pete Crenshaw i Jupiter Jones. Mieszkają w Rocky Beach, kalifornijskim mieście na wybrzeżu Pacyfiku, oddalonym o kilkanaście kilometrów od Hollywoodu.

Bob Andrews, mały, lecz niezmordowany chłopiec, jest typem pilnego ucznia, nie pozbawionym jednak żyłki przygody. Pete Crenshaw, najbardziej wysportowany z trójki, jest raczej wysoki i muskularny. Jupiter... powstrzymam się od wyrażenia mojej osobistej opinii o mistrzu Jonesie. Wyrobicie sobie własną w trakcie czytania tej książki. Ja ograniczę się jedynie do faktów.

A więc, choć kusi mnie nazwać Jupitera opasłym, powtórzę za jego przyjaciółmi, że jest krępy. Jako zupełnie małe dziecko pojawił się na ekranach telewizyjnych w serialu o przygodach grupy zabawnych szkrabów, pod tytułem "Małe Urwisy". Serialu tego, co stwierdzam z przyjemnością, nigdy nie oglądałem. Podobno Jupiter występował tam w roli Małego Tłuscioszka i rzekomo był tak rozkoszny i przemądrzały, że wywoływał salwy śmiechu u milionów widzów, nawet kiedy zdarzało mu się znaleźć w wielce kłopotliwych sytuacjach.

To doświadczenie zostawiło w Jupiterze lęk przed śmiesznością. Chciał, by brano go poważnie, i wcześniej nauczył się czytać. Natychmiast zaczął połykać wszystkie książki, jakie tylko wpadły mu w ręce - z dziedziny nauk przyrodniczych, psychologii, kryminologii i wiele innych. Dzięki swej doskonałej pamięci zachował w głowie większość tego, co przeczytał. W krótkim czasie nauczyciele przestali się z nim wdawać w spory na omawiane tematy.

Jeśli macie już uczucie, że Jupiter jest raczej nie do zniesienia, muszę się z Wami zgodzić. Mówiono mi jednak, że ma wielu oddanych przyjaciół. Z drugiej strony, czy można polegać na gustach młodych ludzi?

Mógłbym powiedzieć Wam wiele więcej o Jupiterze i pozostałych chłopcach.

Mógłbym... ale myślę, że wypełniłem już swój przykry obowiązek. Jeśli dotąd nie zaniechaliście czytania tego wstępu, jesteście zapewne tak jak i ja zadowoleni, że dobiegł końca. Teraz nastąpią atrakcje.

Alfred Hitchcock

Rozdział 1

Trzej Detektywi

Bob Andrews zaparkował rower przed swym domem w Rocky Beach i wszedł do środka. Ledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi wejściowe, gdy zawołała go mama:

- Robert?! Czy to ty?

- Tak, mamó.

Bob wszedł do kuchni, gdzie jego mama, szczupła szatynka, zajęta była pieczeniem ciasta.

- Jak ci poszło dziś w bibliotece? - zapytała.

- Okay - odpowiedział krótko. W końcu w bibliotece nie działo się nic ciekawego. Miał tam dorywczą pracę. Sortował zwrócone książki, pomagał też przy katalogowaniu.

- Telefonował twój przyjaciel Jupiter - mama Boba wałkowała ciasto na stolnicy. - Zostawił dla ciebie wiadomość.

- Wiadomość! - wykrzyknął Bob z nagłym ożywieniem. - Jaką?

- Zapisałam na kartce, którą mam w kieszeni. Wyjmę ją, jak tylko skończę z tym ciastem.

- Czy nie pamiętasz, co powiedział? Może mnie potrzebuje!

- Potrafię zapamiętać zwykłą wiadomość, ale Jupiter takich nie zostawia. Jego zlecenia są zawsze ekscentryczne.

- Jupe lubi niezwykle słowa - Bob starał się opanować zniecierpliwienie. - Przeczytał okropnie dużo książek. Czasem rzeczywiście trudno go zrozumieć.

- Nie tylko czasem - odparowała mama. - To nieprzeciętny chłopiec. Nigdy się nie domyślę, jak znalazł mój pierścionek zaręczynowy.

Zdarzyło się to poprzedniej jesieni. Mama Boba zgubiła pierścionek z brylantem. Właśnie przyszedł Jupiter Jones i poprosił, żeby mu opowiedziała wszystko, co robiła tego dnia, krok po kroku. A potem poszedł do spiżarni, sięgnął za rząd słoików z marynowanymi pomidorami i wyciągnął pierścionek. Po prostu pani Andrews położyła go na półce, kiedy zabrała się do wygotowywania słoików.

- Nie mam pojęcia, jak on zgadł, że pierścionek tam właśnie będzie.

- Nie zgadł, tylko wywnioskował. Tak pracuje jego umysł... Mamó, czy możesz mi już przekazać tę wiadomość?

- Za chwilę. - Mama przeciągnęła wałkiem po cieście. - Nawiasem mówiąc, co to za

historia była we wczorajszej gazecie... podobno Jupiter wygrał rolls-royce'a na trzydzieści dni?

- To był konkurs ogłoszony przez agencję "Wynajmij auto i w drogę". Postawili w swoim oknie wystawowym wielki słój z fasolą i oferowali darmowe wynajęcie rolls-royce'a wraz z szoferem na trzydzieści dni temu, kto poda najbardziej przybliżoną liczbę ziaren fasoli. Jupiter zastanawiał się przez trzy dni, ile ziaren trzeba, żeby wypełnić taki słój. No i wygrał... mamó, wyciągnij już, proszę, tę wiadomość.

- Dobrze, dobrze - mama wytarła umączzone ręce. - Ale co, na Boga, Jupiter będzie robił z rolls-royce'em i szoferem, choćby tylko przez trzydzieści dni?

- Widzisz, mamó, myślimy... - Ale pani Andrews nie słuchała.

- W dzisiejszych czasach można wygrać niemal wszystko - mówiła. - Czytałam o kobiecie, która wygrała w turnieju telewizyjnym łódź mieszkalną. Ona mieszka w górach i teraz głowi się, co począć z tą łodzią.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła karteczkę.

- Masz tę wiadomość: "Zielona Furtka. Prasa w ruchu".

- Świetnie, mamó, dzięki! - Bob popędził do drzwi frontowych, ale mama zatrzymała go.

- Robert! Co, na litość boską, znaczy ta wiadomość. Czy to rodzaj szyfru?

- Nie, to prosty, potoczny język. Muszę się naprawdę spieszyć!

Czmychnął za drzwi, skoczył na rower i ruszył do składu złomu Jonesa.

Kiedy jechał rowerem, aparat usztywniający nogę prawie mu nie przeszkadzał. Bob "wygrał aparat", jak to określił doktor Alvarez, dzięki własnej głupocie. Usiłował się wspiąć w pojedynkę na jedno ze wzgórz otaczających Rocky Beach. Miasto leży na równinie ograniczonej z jednej strony Oceanem Spokojnym, z drugiej - Górami Santa Monica. Jako góry są one niewielkie, lecz jeśli traktować je jako wzgórza, są bardzo wysokie. Bob toczył się po stoku przez jakieś sto pięćdziesiąt metrów i wylądował na dole z nogą złamaną w kilku miejscach. W szpitalu zapewniono go, że ustanowił w tym względzie rekord.

Doktor Alvarez pocieszył chłopca, że aparat zostanie po pewnym czasie zdjęty i Bob zapomni, że go kiedykolwiek nosił. Niekiedy stanowił pewną uciążliwość, ale przeważnie nie przeszkadzał mu zupełnie.

Bob wyjechał już z centrum miasta i zbliżał się do składu złomu Jonesa. Zwał się on kiedyś "Graciarnią Jonesa", ale Jupiter przekonał swego wuja, że nazwę trzeba zmienić. Oprócz normalnego złomu w składzie znajdowało się wiele niezwykłych artykułów, ludzie ściągali więc z bardzo odległych miejsc w poszukiwaniu towaru, którego nie można było

znaleźć nigdzie indziej.

Dla każdego chłopca skład był fascynującym miejscem. Jego specyficzny charakter dawał się poznać już z daleka, gdy tylko zobaczyło się płot, który go otaczał. Pan Tytus Jones pomalował deski resztkami farb w najróżniejszych kolorach. Miejscowi artyści malarze przyszedli mu z pomocą w podzięce za potrzebne drobiazgi ze składu, które im dawał.

Tak więc cały frontowy płot pokrywały rysunki drzew i kwiatów, jezior i sunących po nich łabędzi. Inne sceny wymalowano na pozostałych stronach płotu. Było to z pewnością najbarwniejsze złomowisko w kraju.

Bob minął główne wejście do składu, stanowiła je olbrzymia, dwuskrzydłowa brama z kutego żelaza. Kiedyś zamykała wjazd do pewnej posiadłości, która spłonęła w pożarze. Około stu metrów dalej, blisko narożnika, na płocie można było obejrzeć rysunek zielnego, wzburzonego oceanu, na sztormowych falach kołysał się okręt. Tu Bob się zatrzymał, zsiadł z roweru, odszukał dwie deski, które Jupiter zmienił w ich prywatne wejście, czyli Zieloną Furtkę. Na pierwszym planie wynurzona z wody ryba patrzyła na tonący statek. Bob nacisnął jej oko i dwie deski odchyliły się w górę.

Przepchnął rower przez otwór i zamknął furtkę. Był teraz w narożniku składu, gdzie Jupiter urządził sobie pracownię. Z góry osłabło ją niemal dwumetrowej szerokości zadaszenie, które biegło wzdłuż całej długości płotu i pod którym pan Jones trzymał swe najcenniejsze rupiecie.

Gdy Bob wszedł do pracowni, Jupiter siedział na starym obrotowym krześle i skubał dolną wargę, co zawsze było znakiem, że jego umysł pracuje na najwyższych obrotach. Pete Crenshaw uwijał się przy małej prasie drukarskiej. Przybyła ona do składu jako złom i Jupiter dopóty się nad nią mozolił, dopóki nie zaczęła ponownie funkcjonować.

Prasa przesuwiała się z turkotem w przód i w tył, a wysoki, ciemnowłosy Pete najpierw układał, po czym zdejmował z niej białe karteczki. Tak więc wiadomość Jupitera znaczyła po prostu, że prasa drukarska działa i że ma wejść przez Zieloną Furtkę.

Z frontowej części składu, gdzie znajdowało się biuro, nikt nie mógł chłopców widzieć, zwłaszcza ciocia Matylda, postawna kobieta, która właściwie sama prowadziła skład. Była osobą o złotym sercu i pogodnym usposobieniu, ale widząc chłopców miała tylko jedno w głowie: jak zagonić ich do roboty!

W akcie samoobrony Jupiter wznosił po trochu wokół swej pracowni sterty wszelkiego rodzaju odpadów. W ten sposób uzyskał zaciszne miejsce na spotkania z przyjaciółmi w wolnych chwilach.

Bob odstawił rower i podszedł do Pete'a, który wręczył mu jedną z białych karteczek.

- Zobacz!

Była to spora wizytówka, która głosiła:

<p style="text-align:center">TRZEJ DETEKTYWI Badamy wszystko ??? Pierwszy Detektyw Jupiter Jones Drugi Detektyw Pete Crenshaw Dokumentacja i analizy Bob Andrews</p>
--

- Bomba! - wyraził podziw Bob. - To naprawdę wygląda świetnie. Więc postanowiłeś wystartować, Jupe?

- O otwarciu agencji detektywistycznej mówiliśmy przecież od dawna - odpowiedział Jupiter. - Teraz, skoro wygrałem rolls-royce'a na trzydzieści dni, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę mamy możliwość szukania tajemnic, gdzie tylko się da. W każdym razie przez pewien czas. Dlatego startujemy. Od dziś jesteśmy oficjalnie Trzema Detektywami.

Jako Pierwszy Detektyw zajmuję się planowaniem. Pete, Drugi Detektyw, będzie przewodził we wszystkich operacjach wymagających sprawności fizycznej. Ponieważ ty, Bob, nie jesteś chwilowo w odpowiedniej kondycji, żeby śledzić podejrzanych, wspinać się na płoty i tym podobne, zajmiesz się zbieraniem informacji, które okażą się w naszych sprawach potrzebne. Będziesz też prowadził wszystkie notatki z naszych poczynań.

- Mnie to odpowiada - zgodził się Bob. - Przy mojej pracy w bibliotece łatwo mogę zasięgać informacji.

- Nowoczesne dochodzenie wymaga obszernych prac badawczych - oświadczył Jupiter. - Dlaczego patrzysz na tę kartkę z dziwną miną? Można wiedzieć, co ci się nie podoba?

- Te znaki zapytania. Po co one tu są?

- Czekałem na to pytanie - powiedział Pete. - Jupe mówił, że się zapytasz. Twierdzi, że każdy będzie pytał.

- Znak zapytania - zaczął Jupiter z namaszczeniem - jest symbolem niewiadomego. Jesteśmy gotowi rozwiązywać zagadki, tajemnice, niejasności i sprawy niezwykle, jakie tylko zostaną nam powierzone. Stąd naszym symbolem jest znak zapytania. Trzy znaki zapytania obok siebie będą zawsze oznaczać Trzech Detektywów.

Bob myślał, że Jupe już skończył, choć powinien wiedzieć z doświadczenia, że to

dopiero rozgrzewka.

- A poza tym znaki zapytania - ciągnął Jupiter - będą wzbudzać zainteresowanie. Podobnie jak ty, ludzie będą się pytać o ich znaczenie. To pomoże nam utrwalić się w ludzkiej pamięci. Znaki zapytania staną się naszą reklamą. Każdy interes wymaga reklamy, żeby pozyskać klientelę.

- Świetnie - Bob odłożył wizytówkę na stosik wydrukowany już przez Pete'a. - Teraz potrzebujemy tylko jakiejś sprawy do zbadania.

- Bob, mamy już sprawę - oznajmił Pete uroczyście.

- Niezupełnie - Jupiter wyprostował się i ściągnął usta. W ten sposób jego okrągła buzia zdawała się dłuższa i wyglądał doroślej. Przy swej krępej budowie Jupiter sprawiał wrażenie tłuściocha, gdy nie trzymał się prosto.

- Niestety widzę pewną małą przeszkodę - wyjaśnił. - Istotnie jest sprawa, którą moglibyśmy z łatwością rozwiązać, tylko nie została nam jeszcze powierzona.

- Co to za sprawa? - zapytał Bob z ożywieniem.

- Sławny reżyser Alfred Hitchcock szuka do swego następnego filmu prawdziwego domu nawiedzanego przez duchy - powiedział Pete. - Mój tato słyszał o tym w studiu.

Pan Crenshaw był fachowcem w kreowaniu specjalnych filmowych efektów technicznych i pracował w pobliskim Hollywoodzie.

- Nawiedzany przez duchy dom? - powtórzył Bob. - Jak można stwierdzić, czy dom jest nawiedzany przez duchy?

- Możemy znaleźć taki dom i odkryć, czy rzeczywiście tam straszy. Nasze nazwiska trafią do prasy i to uruchomi agencję.

- Tylko że pan Hitchcock nie poprosił nas jeszcze o zbadanie takiego domu - powiedział Bob. - Czy to właśnie nazywasz małą przeszkodą?

- Będziemy musieli go przekonać, że powinien skorzystać z naszych usług. To jest nasz następny krok.

- Pewnie - prychnął Bob sarkastycznie. - Wejdziemy pewnie do biura najslawniejszego reżysera na świecie i zapytamy: "Pan po nas posyłał?"

- Może niezupełnie tak, ale z grubsza myśl jest słuszna. Telefonowałem już do pana Hitchcocka i poprosiłem o spotkanie - oznajmił Jupiter.

- Co zrobiłeś? - zapytał Pete równie zdziwiony jak Bob. - Czy zgodził się nas przyjąć?

- Nie - wyznał Jupiter. - Jego sekretarka nie pozwoliła mi nawet z nim porozmawiać.

- Można się było tego spodziewać - mruknął Pete.

- Mówiąc ściśle, powiedziała, że nas każe zaarrestować, jeśli będziemy usiłowali się

do niego zbliżyć - dodał Jupiter. - Okazało się, że sekretarką pana Hitchcocka jest młoda dziewczyna, która chodziła do szkoły w Rocky Beach. Była o kilka klas wyżej od nas, ale prawdopodobnie ją pamiętacie. Nazywa się Henrietta Larson.

- Henrietta ważniaczka! - wykrzyknął Pete. - Pewnie, że ją pamiętam.

- Pomagała nauczycielom i musztrowała wszystkie młodsze dzieci - wtórował mu Bob. - Nigdy jej nie zapomnę. Jeśli Henrietta Larson jest jego sekretarką, możemy sobie pana Hitchcocka wybić z głowy. Trzy uzbrojone czołgi nie sforsują jej oporu.

- Trudności czynią życie interesującym - stwierdził Jupiter ze spokojem. - Jutro rano wybierzemy się do Hollywoodu moim tymczasowym samochodem i złożymy wizytę panu Hitchcockowi.

- Żeby Henrietta napuściła na nas policję?! - wykrzyknął Bob. - Nie ma mowy. Zresztą jutro muszę pracować cały dzień w bibliotece.

- Więc pojedziemy we dwójkę z Pete'em. Zatelefonuję do agencji "Wynajmij auto i w drogę" i powiem im, że zaczynam moje trzydzieści dni jutro o dziesiątej rano. A ty, Bob, skoro będziesz cały dzień w bibliotece, poszukasz w starych gazetach i pismach artykułów o tym - tu napisał dwa słowa na odwrocie wizytówki detektywów i wręczył ją Bobowi.

- Zamek Grozy - odczytał Bob i gardło mu się ścisnęło. - Dobrze, Jupe, jeśli tego chcesz.

- Trzej Detektywi rozpoczynają działalność - oznajmił Jupiter z zadowoleniem. - Weźcie zapas wizytówek i noście je zawsze przy sobie. To są wasze listy uwierzytelniające. Od jutra każdy z nas będzie pełnił obowiązki, jakie przypadną mu w udziale.

Rozdział 2

Podstępem do celu

Następnego rana Pete i Jupiter czekali pod wielką, żelazną bramą składu na długo przed umówioną godziną. Włożyli swe odświętne ubrania, białe koszule i krawaty. Włosy mieli gładko zaczesane, wypucowane twarze zaróżowione pod opalenizną. Nawet paznokcie mieli czyste.

Ale ich elegancja została przyćmiona, gdy wreszcie podjechał wspaniały samochód. Rolls-royce był zabytkowym okazem z ogromnymi jak bębny przednimi światłami i straszliwie długą maską. Karoserię miał kwadratową jak pudełko, a wszystkie wykończenia, nawet zderzaki, były pozłacane i lśniły jak klejnoty. Czarny lakier karoserii był tak wypolerowany, że mógł służyć jako lustro.

- Rany! - powiedział Pete z zachwytem. - Wygląda jak samochód starego milionera.

- Rolls-royce jest najdroższym z produkowanych w świecie samochodów - zaczął swój wykład Jupiter. - Ten tutaj został skonstruowany specjalnie dla bogatego szejka arabskiego o wyszukanym guście. Obecnie agencja wynajmu samochodów używa go głównie w celach reklamowych.

Z samochodu sprężyście wysiadł szofer. Był to wysoki mężczyzna, szczupły, lecz mocno zbudowany, o długiej, pogodnej twarzy. Zdjął swoją szoferską czapkę i zwrócił się do Jupitera:

- Pan Jones? Jestem szoferem, nazywam się Worthington.

- Bardzo mi miło, panie Worthington, ale proszę do mnie mówić Jupiter, jak wszyscy.

Na twarzy szofera odmalowało się cierpienie.

- Proszę się zwracać do mnie po prostu Worthington. Tak jest przyjęte. Jest również przyjęte, że ja zwracam się do moich pracodawców bardziej formalnie. Pan jest obecnie moim pracodawcą i wolałbym szanować przyjęte zwyczaje.

- No dobrze, Worthington - zgodził się Jupiter. - Jeśli taki jest zwyczaj.

- Dziękuję. A teraz samochód i ja jesteśmy do usług przez trzydzieści dni.

- Przez trzydzieści dni, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - uzupełnił Jupiter. - Zgodnie z regułami konkursu.

- Oczywiście - Worthington otworzył tylne drzwi samochodu. - Zechcą panowie wsiąść.

- Dziękuję - powiedział Jupiter, sadowiac się wraz ze swym partnerem na tylnym

siedzeniu. - Ale nie musi nam pan otwierać drzwi. Jesteśmy dość młodzi, żeby robić to samodzielnie.

- Wolalbym spełniać wszystkie usługi, które do mnie należą - odparł Worthington. - jeśli je zaniedbam, mogę się w przyszłości okazać opieszale.

- Rozumiem. - Jupiter zastanawiał się, podczas gdy Worthington zajął miejsce za kierownicą. - Może się jednak zdarzyć, że będziemy musieli wsiadać i wysiadać w pośpiechu. Umówmy się więc, że poza początkiem i końcem jazdy danego dnia będziemy wsiadać i wysiadać sami.

- Doskonale. - We wstecznym lusterku zobaczyli uśmiech na twarzy angielskiego szofera. - To świetne rozwiązanie.

- Hm... my chyba nie będziemy równie dystygowani jak większość osób, które pan wozi. Możliwe również, że będziemy musieli jeździć w bardzo dziwne miejsca... To powinno coś wyjaśnić. - Jupiter podał Worthingtonowi wizytówkę Trzech Detektywów.

Szofer przestudiował ją z uwagą.

- Zrozumiałem, o co chodzi, przynajmniej tak mi się zdaje. Ta praca będzie dla mnie przyjemnością. Wożenie młodych ludzi, żadnych przygód to dla mnie duża odmiana. Jeździłem ostatnio przeważnie z osobami starszymi i ostrożnymi. A teraz poproszę pana o podanie celu naszej pierwszej podróży.

Pete i Jupiter poczuli wielką sympatię dla swojego szofera.

- Chcemy pojechać do Hollywoodu, złożyć wizytę panu Alfredowi Hitchcockowi w jego studiu - powiedział Jupiter. - Ja... hm... wczoraj do niego telefonowałem.

- Doskonale, panie Jones.

Niebawem luksusowy samochód unosił ich przez wzgórza w stronę Hollywoodu. Worthington powiedział przez ramię:

- Chciałbym poinformować, że samochód wyposażony jest w telefon i barek z napojami chłodzącymi. Tak jedno, jak i drugie do pańskiej dyspozycji.

- Ogromnie dziękuję - odparł Jupiter z elegancją godną pasażera tak wytwornego samochodu. Otworzył schowek na wprost swego siedzenia i wyjął z niego telefon. Był oczywiście połączony, ale nie miał tarczy, tylko przycisk.

- To jest radiotelefon - wyjaśnił Jupe Pete'owi. - Naciska się guzik i podaje żądany numer telefonistce. Myślę, że na razie nie będziemy go potrzebować.

Z pewnym ociąganiem odstawił telefon i oparł się wygodnie na obitym skórą siedzeniu.

Po miłej, ale nieurozmaiconej podróży wjechali do centralnej dzielnicy Hollywoodu. W miarę jak zbliżali się do celu, Pete coraz niespokojniej wiercił się na siedzeniu.

- Jupe, czy możesz mi powiedzieć, jak zamierzasz się dostać do studia filmowego? Wiesz doskonale, że wszystkie studia są otoczone murem, a przy bramie stoi strażnik, którego trzymają tam tylko po to, żeby nie wpuszczał takich intruzów jak my. W życiu nie przejedziemy przez bramę.

- Obmyśliłem pewną strategię - powiedział Jupiter. - Oby tylko okazała się skuteczna, właśnie jesteśmy na miejscu.

Jechali wzdłuż wysokiej, otynkowanej ściany, zajmującej przestrzeń między dwoma przecznicami. Na szczycie widniał napis World Studios. Ściana była tylko po to, żeby nikt nie mógł się dostać do środka - tak jak powiedział Pete.

Wysoka, żelazna brama stała otworem. W małej budce obok siedział mężczyzna w uniformie. Worthington skręcił w bramę i mężczyzna natychmiast wyskoczył z budki.

- Hej, chwileczkę! Dokąd jedziecie?

Worthington zatrzymał samochód.

- Do pana Alfreda Hitchcocka.

- Macie przepustkę? - zapytał strażnik.

- Nie wiedzieliśmy, że jest potrzebna - odparł Worthington.

- Mój pryncypał telefonował do pana Hitchcocka.

Co było absolutnie zgodne z prawdą, tyle że nie rozmawiał z reżyserem osobiście.

- Och - strażnik podrapał się w głowę, nie bardzo wiedząc, co robić. Jupiter opuścił szybę i wychylił głowę.

- Mój dobry człowieku - zaczął i Pete o mało nie spadł z fotela. Jupe mówił najczystszym angielskim akcentem. - Jaki jest powód tego opóźnienia?

- Ludzie - wyszeptał Pete. Wiedział, że Jupe jako małe dziecko występował w telewizji i miał zdolności aktorskie, ale czegoś takiego się nie spodziewał.

Wydymając lekko policzki i usta i spoglądając nieco z góry, Jupe osiągnął łudzące podobieństwo do sławnego reżysera. Raczej impertynencka, młoda wersja Alfreda Hitchcocka. Podobieństwa nie można było nie dostrzec. I jeszcze ten akcent w związku z angielskim pochodzeniem reżysera.

- Uch... muszę wiedzieć, kto przyjechał do pana Hitchcocka - powiedział strażnik nerwowo.

- Rozumiem. - Jupiter ponownie spojrzął na niego wyniośle. - Najlepiej będzie, jeśli zatelefonuję do mego wuja.

Wyjął telefon ze schowka, przycisnął guzik i podał telefonistce numer telefonu. Pete poznał numer składu złomu. Jupe rzeczywiście telefonował do swego wuja.

Strażnik objął spojrzeniem zdumiewający samochód i Jupitera ze złotym telefonem.

- Och, mniejsza - powiedział spieszenie. - Jedźcie dalej. Sam zatelefonuję, że przybyliście.

- Dziękuję. Niech pan rusza, Worthington,

Jupiter odchylił się na oparcie. Jechali wąską ulicą porośniętą po obu stronach drzewami palmowymi, wśród których stały małe, ładne budynki, usytuowane blisko siebie. Dalej widać było łukowate dachy wielkich studiów, gdzie kręcono filmy. Właśnie do jednego z nich wchodzili aktorzy w kostiumach.

Chociaż wjechali na teren studia, Pete wciąż nie mógł sobie wyobrazić, jak Jupe zdoła się zobaczyć z samym panem Hitchcockiem. Nie miał jednak wiele czasu na myślenie, gdyż właśnie zatrzymali się przed dużym budynkiem. Zgodnie z panującym tu zwyczajem każdy reżyser miał swój oddzielny budynek, gdzie mógł pracować bez zakłóceń. Na studiu, przed którym się znajdowali, starannie wymalowany napis głosił: ALFRED HITCHCOCK.

- Proszę na nas poczekać, Worthington - powiedział Jupiter, gdy szofer otworzył im drzwi samochodu. - Nie wiem, ile czasu nam to zajmie.

- Oczywiście, proszę pana.

Jupiter wspiał się pierwszy na stopień pod drzwiami wejściowymi i wszedł do klimatyzowanego pokoju przyjęć. Młoda blondynka za biurkiem odkładała właśnie słuchawkę. Pete nie bardzo rozpoznawał w niej Henriettę Larson, ale kiedy otworzyła usta, nie miał żadnych wątpliwości.

- Szczyt bezczelności! - Henrietta podparła się pod boki i patrzyła na Jupitera piorunującym spojrzeniem. - Udać siostrzeńca pana Hitchcocka! No, teraz zobaczymy, jak szybko nasza policja cię stąd przegoni!

Sięgnęła po telefon i Pete'owi serce zamarło.

- Poczekaj! - zawołał Jupiter.

- Na co? - spytała pogardliwie. - Dostałeś się tu okłamując strażnika, że jesteś siostrzeńcem pana Hitchcocka...

- On tego nie powiedział - Pete stanął w obronie przyjaciela. - Strażnik sam na to wpadł.

- Ty się nie wtrącaj - powiedziała Henrietta ostrzegawczo. - Jupiter Jones narusza porządek publiczny i już ja się postaram, żeby się nim zajęto.

Ponownie sięgnęła po słuchawkę, ale Jupiter powstrzymał ją mówiąc:

- Nigdy nie należy postępować pochopnie, panno Larson.

Pete zdębiał. Jupe znowu mówił tym przesadnym brytyjskim akcentem i w ciągu sekundy znów przybrał wygląd bardzo młodego Alfreda Hitchcocka.

- Jestem przekonany, że pana Hitchcocka zainteresują moje zdolności aktorskie.

Henrietta spojrzała na Jupitera i jak poparzona wypuściła z ręki słuchawkę.

- Och ty... ty... - przez moment zabrakło jej słów. Potem opanowała się i powiedziała surowo: - Doskonale, Jupiterze Jones, jestem pewna, że pan Hitchcock zechce zobaczyć ten popis.

- Hm... hm... panno Larson.

Na dźwięk tych słów chłopcy obejrzeni się gwałtownie. Nawet Henrietta zdawała się wystraszona. W progu stał Alfred Hitchcock we własnej osobie.

- Czy coś się stało, panno Larson? - zapytał. - Wzywałem panią.

- Zaraz pan się przekona, co się stało - odparła Henrietta. - Ten młody człowiek ma panu do powiedzenia coś, co z pewnością pana zainteresuje.

- Przykro mi, ale nikogo dziś nie mogę przyjąć.

- Proszę pana, jestem przekonana, że zechce pan to zobaczyć - nalegała Henrietta tonem, który bardzo nie podobał się Pete'owi. Pan Hitchcock musiał to również wyczuć, bo spojrzął na chłopców z zaciekawieniem.

- Dobrze - wzruszył ramionami. - Chodźcie, chłopcy.

Odwrócił się i wszedł z powrotem do swego gabinetu, gdzie zajął miejsce za biurkiem wielkości kortu tenisowego. Chłopcy stanęli naprzeciw niego, a Henrietta zamknęła drzwi.

- No, chłopcy, co powinienem zobaczyć? Mogę wam poświęcić tylko pięć minut.

- Oto, co chciałem panu pokazać - powiedział Jupiter z szacunkiem i podał jedną z wizytówek Trzech Detektywów. Pete zrozumiał, że Jupe postępuje zgodnie z planem, który sobie wcześniej obmyślił. Wyraźnie plan był skuteczny. Pan Hitchcock wziął kartkę i odczytał ją.

- Hm... a więc jesteście detektywami. Można wiedzieć, po co te znaki zapytania? Czy oznacza to, że macie wątpliwości co do własnych umiejętności?

- Nie, proszę pana - odpowiedział Jupiter. - One są naszym znakiem firmowym. Symbolizują pytania wymagające odpowiedzi i tajemnice, które należy wyjaśnić. Wzbudzają także ciekawość, co pomaga nas zapamiętać.

- Rozumiem - pan Hitchcock odchrząknął. - Dbacie o reklamę.

- Jeśli chcemy odnieść sukces, ludzie muszą wiedzieć o naszej firmie.

- To nie podlega dyskusji - zgodził się pan Hitchcock. - Ale nie dowiedziałem się

jeszcze, co was tu sprowadza.

- Chcemy znaleźć dla pana dom nawiedzany przez duchy.

- Nawiedzany przez duchy dom? - Pan Hitchcock uniósł brwi. - Skąd wam przyszło do głowy, że czegoś takiego potrzebuję?

- O ile wiemy, zamierza pan nakręcić swój nowy film w takim właśnie domu. Trzej Detektywi pragną asystować panu w jego poszukiwaniach.

Alfred Hitchcock zachichotał.

- W tej chwili dwóch moich specjalistów od planu szuka odpowiedniego domu. Jeden pojechał do Salem w Massachusetts, drugi do Charleston w Południowej Karolinie. Obie miejscowości są bogate w zjawiska nadprzyrodzone. Jutro udadzą się do Bostonu i Nowego Jorku. Jestem pewien, że znajdą mi to, czego szukam.

- Ale jeśli znaleźlibyśmy panu właściwy dom tutaj - argumentował Jupiter - byłoby panu o wiele łatwiej zrobić film na miejscu.

- Przykro mi, chłopcze, ale nie ma o tym mowy.

- My nie chcemy żadnych pieniędzy - upierał się Jupiter. - Wszyscy znani detektywi, jak Sherlock Holmes, Ellery Queen, Hercules Poirot, mieli kogoś, kto pisał o ich dokonaniach. To uczyniło ich sławnymi. O działaniach Trzech Detektywów będzie pisał ojciec naszego przyjaciela, Boba Andrews. On jest dziennikarzem. W ten sposób damy się poznać potencjalnej klienteli.

- Więc? - Pan Hitchcock spojrzał na zegarek.

- Więc pomyślałem, proszę pana, że gdyby przedstawił pan tylko naszą pierwszą sprawę...

- To zupełnie niemożliwe. Wychodząc poproście panią Larson, żeby do mnie przyszła.

- Tak, proszę pana - Jupiter zgnębiony zwrócił się do wyjścia. Byli już z Pete'em przy drzwiach, gdy pan Hitchcock zawołał:

- Chwileczkę, chłopcy!

- Tak, proszę pana? - odwrócili się... pan Hitchcock zmarszczył brwi.

- Właśnie pomyślałem, że nie byliście ze mną całkowicie szczerzy. Co właściwie powinienem zobaczyć, zdaniem panny Larson? Z pewnością nie chodziło o waszą wizytówkę.

- No więc, proszę pana... - powiedział Jupiter z ociąganiem - potrafię naśladować różnych ludzi i ona uważała, że powinien pan zobaczyć, jak wyglądam, udając pana w młodym wieku.

- Mnie jako chłopca? - w głosie sławnego reżysera brzmiały głębokie tony, a twarz mu

się zachmurzyła. - Co przez to rozumiesz?

- To, proszę pana - raz jeszcze twarz Jupitera zmieniła rysy. Obniżył głos i przemówił z brytyjskim akcentem:

- Przyszło mi na myśl, że któregoś dnia zechce pan, by ktoś sportretował pana jako chłopca w jednym z jego filmów i jeśli...

Brwi Alfreda Hitchcocka skoczyły w górę i twarz mu pociemniała.

- Potworne! Natychmiast przestań!

Jupiter powrócił do własnej postaci.

- Czy nie uważa pan, że osiągnąłem duże podobieństwo? Czy jako dziecko tak pan wyglądał?

- Z pewnością nie! Byłem dobrze zbudowanym chłopcem i w żadnym wypadku nie przypominałem tego karykaturalnego tłuściocha, którego mi tu odstawiliś.

- Muszę więc chyba więcej ćwiczyć - powiedział Jupiter z westchnieniem. - Moi przyjaciele uważają, że jestem naprawdę dobrym imitatorem.

- Zabraniam ci - ryknął pan Hitchcock. - Kategorycznie zabraniam! Daj mi słowo, że nigdy więcej nie będziesz mnie imitował, a ja, niech to diabli, przedstawię, co tam napiszesz o waszym dochodzeniu!

- Dziękuję panu! - wykrzyknął Jupiter. - Więc chce pan, żebyśmy zajęli się sprawą tego domu?

- Och, tak, naturalnie. Nie przyrzekam, że z niego skorzystam, ale pracujcie nad nim, koniecznie. A teraz zabierajcie się stąd, póki nie stracę resztek cierpliwości. Nie wróżę ci nic dobrego, młody człowieku. Masz za dużo sprytu, żeby ci to wyszło na zdrowie!

Jupiter i Pete wyszli spiesznie, zostawiając Alfreda Hitchcocka jego czarnym myśłem.

Rozdział 3

Informacje o Zamku Grozy

Późnym popołudniem zdyszany z wysiłku Bob Andrews przepchnął swój rower przez Zieloną Furtkę. Akurat teraz musiała mu nawalić dętka!

Wtoczył rower do składu i odstawił go. Z dalszej części podwórza dobiegał głos pani Jones. Wydawała polecenia pracownikom, Hansowi i Konradowi. Jupe'a i Pete'a nie było w pracowni.

Bob wszedł za małą prasę drukarską i odsunął kawał żelaznej kraty, która zdawała się po prostu stać tutaj, oparta o podstawę prasy. Za nią był jednak otwór bardzo długiej, karbowanej rury. Bob wcisnął się do otworu i zasunął kratę z powrotem na miejsce. Tak prędko, jak tylko pozwalała mu usztywniona aparatem noga, przeczołgał się przez rurę, czyli Tunel Drugi, jedno z sekretnych wejść do Kwatery Głównej. Tunel biegł aż pod klapę w jej podłodze. Bob pchnął klapę i wspiął się do wnętrza siedziby detektywów.

Kwaterą Główną była dziewięciometrowej długości przyczepa kempingowa, którą Tytus Jones kupił ubiegłego roku jako złom. Została poważnie uszkodzona w wypadku. Rama była mocno zgięta i nie dało się przyczepy sprzedać. Tytus podarował ją więc bratankowi na miejsce spotkań z kolegami.

Stopniowo w ciągu roku chłopcy z pomocą Hansa i Konrada wzniesli wokół przyczepy stertę rupieci. Zwały stalowych belek i tarcicy, fragmenty schodków przeciwpożarowych i wiele innych odpadów skrywało ją teraz zupełnie. Pan Jone's najwidoczniej zapomniał o jej istnieniu. Tylko chłopcy wiedzieli, jak dobrze jest wewnątrz urządzona. Mieli tam biuro, laboratorium, ciemnię fotograficzną i dostawali się do środka przez kilka sekretnych wejść.

Gdy Bob wyczołgał się z rury, Jupiter siedział za biurkiem na wyreperowanym starym fotelu obrotowym z osmalonym w pożarze bokiem. (Całe wyposażenie Kwatery Głównej było odremontowanym złomem.) Pete przysiadł naprzeciwko niego.

- Spóźniłeś się - powiedział Jupiter, o czym Bob dobrze wiedział.
- Dętka mi pękła - wydyszał. - Najechałem pod biblioteką na wielki gwóźdź.
- Znalazłeś coś?
- Żebyś wiedział. Dowiedziałem się o Zamku Grozy aż za dużo na mój gust.
- Zamek Grozy! - powtórzył Pete. - Nie podoba mi się już sama nazwa.
- Poczekaj, aż coś usłyszysz - powiedział Bob. - Na przykład o pięcioosobowej

rodzinie, która usiłowała spędzić tam noc i nigdy...

- Zaczynij od początku - przerwał mu Jupiter. - Po kolei wszystkie fakty.

- Dobra - Bob otworzył dużą brązową kopertę, którą przyniósł ze sobą. - Ale najpierw muszę wam powiedzieć, że Chudy Norris węszy, co robimy. Zaglądał mi cały czas przez ramię.

- Mam nadzieję, że nic nie powiedziałeś temu bęcwałowi! - wykrzyknął Pete. - Zawsze wtyka nos w nasze sprawy.

- Oczywiście, że mu nic nie powiedziałem. Ale nie chciał się odczepić. Zatrzymał mnie przed biblioteką i chciał pogadać o samochodzie, który Jupe wygrał na trzydzieści dni. Wypytywał mnie, co Jupe zamierza z nim robić.

- Po prostu jest wściekły, że już nie będzie w szkole jedynym chłopcem, który ma samochód - powiedział Jupiter. - Gdyby jego ojciec nie był zameldowany w stanie, w którym wydają prawo jazdy prawie niemowlakom, nie mógłby jeździć własnym samochodem. Teraz stracił wyższość nad nami.

- W każdym razie - ciągnął Bob marszcząc czoło - wciąż mnie obserwował, kiedy wyciągałem stare gazety i pisma, żeby poszukać informacji dla ciebie, Jupe. Nie dałem mu zobaczyć, co wyszukuję, ale...

- Tak? - ponaglił Jupiter.

- Wiesz, ta nasza wizytówka, na której napisałeś "Zamek Grozy"?

- Przypuszczam, że położyłeś ją gdzieś w bibliotece i potem nie mogłeś znaleźć.

Bob zamrugał oczami.

- Nie mówiłbyś o niej, gdybyś jej nie zgubił - odparł Jupiter. - A wydaje się logiczne, że jedynym miejscem, gdzie się to mogło stać, jest pokój z katalogami.

- No więc tak się stało - przyznał Bob. - Zostawiłem ją chyba na stole. Nie wiem na pewno, czy Chudy Norris wziął kartkę, ale miał bardzo zadowoloną minę, kiedy wychodził z biblioteki.

- Nie będziemy się teraz przejmować Chudym Norrisem - powiedział Jupiter. - Mamy ważną sprawę do rozwiązania. Mów, czego się dowiedziałeś.

- Już się robi. - Bob wyciągnął z koperty plik papierów. - Trzeba zacząć od tego, że Zamek Grozy znajduje się w tak zwanym Czarnym Kanionie, powyżej Hollywoodu. Pierwotnie dom nazywano Zamkiem Terrilla, ponieważ zbudował go aktor filmowy Stephen Terrill. Był wielką gwiazdą filmu niemego. Grał w różnego rodzaju horrorach o wampirach, wilkołakach i innych straszidłach. Zbudował swój dom na wzór zamków z takich filmów i zappełnił go starymi zbrojami, sarkofagami mumii egipskich i innymi niesamowitymi

rekwizytami z filmów, w których występował.

- Wielce obiecujące - wtrącił Jupiter.

- Zależy dla kogo! - powiedział Pete. - Co się stało ze Stephenem Terrillem?

- Zaraz do tego dojdę - odpowiedział Bob. - Terrill był znany na całym świecie, nazywano go "człowiekiem o tysiącu twarzy". Potem wynaleziono film dźwiękowy i wszyscy odkryli, że Terrill mówi cienkim, skrzekliwym głosem i sepleni.

- Piękne! - zaśmiał się Pete. - Monstrum, które sepleni piskliwym głosem! Ludzie musieli spadać z krzeseł ze śmiechu.

- Tak właśnie było, i Stephen Terrill przestał grać w filmach. Odprawił służbę i odsunął swego najlepszego przyjaciela i menadżera, pana Jonathana Rexa. W końcu przestał nawet odpowiadać na telefony i listy. Po prostu zamknął się w zamku z własnymi myślami. Powoli ludzie o nim zapomnieli.

Potem pewnego dnia znaleziono wrak samochodu, około czterdziestu kilometrów na północ od Hollywoodu. Samochód wypadł z drogi i runął w dół urwiska na skraj oceanu.

- Jaki to ma związek z Stephenem Terrillem? - zapytał Pete.

- Samochód należał do Terrilla, jak ustaliła policja. Ciała nie znaleziono, ale to nie była niespodzianka. Przyływ mógł zmyć ciało w głąb oceanu.

- Ludzie! - Pete spowaźniał. - Czy myślisz, że zjechał celowo z przepaści?

- Policja nie była pewna, ale gdy poszli przeszukać jego dom, zastali drzwi szeroko otwarte i znaleźli list pożegnalny Stephena Terrilla, następującej treści: *Choć świat nie zobaczy mnie już nigdy żywym, mój duch nie opuści tego domu. Zamek pozostanie na zawsze przeklęty.*

- O rany! - wykrzyknął Pete. - Im więcej słyszę o tym zamku, tym mniej mi się podoba.

- Przeciwnie, robi się coraz bardziej interesujący - odparował Jupiter. - Mów dalej, Bob.

- Tak więc policja przeszukała każdy kąt i zakamarek zamku, ale poza listem nie znaleźli żadnego śladu po Terrillu. Okazało się jednak, że miał duży dług hipoteczny w banku. Wysłano ludzi, żeby zarekwirowali dobytek. Z niewytłumaczonych przyczyn jednak ludzie ci zaczęli odczuwać tam wciąż rosnące zdenerwowanie i odmówili wykonania pracy. Mówili, że widzieli i słyszeli w zamku różne osobliwe rzeczy, ale nie potrafili jasno ich opisać. Później bank próbował sprzedać zamek wraz z jego zawartością, ale nie mógł znaleźć nikogo, kto by zechciał tam choć zamieszkać, nie mówiąc już o kupnie. Kto tylko wszedł do zamku, odczuwał po chwili zdenerwowanie. Sprzedawca z pewnego biura nieruchomości

zdecydował się spędzić tam noc dla udowodnienia, że ludzie ulegają tylko grze własnej wyobraźni. O północy uciekł tak przerażony, że pędził bez zatrzymywania się przez cały kanion.

Pete ląkał głośno ślinę, ale Jupiter miał wielce zadowoloną minę.

- Co dalej? To przechodzi moje wszelkie oczekiwania.

- Wiele innych osób usiłowało spędzić noc w zamku. Pewna gwiazdka filmowa podjęła próbę dla reklamy. Uciekła jeszcze przed północą i zęby jej tak szczękały, że nie mogła mówić. Mamrotała coś o niebieskiej zjawie i mgle strachu.

- Niebieska zjawa i mgła strachu? - Pete oblizwał wargi. - Tylko tyle? Żadnego jeźdźca bez głowy? Żadnych duchów pobrzękujących łańcuchami, żad...

- Gdybyś pozwolił Bobowi skończyć - przerwał mu Jupiter - moglibyśmy szybciej przystąpić do działania.

- Dla mnie już skończył - mruknął Pete chmurnie. - Nie mam ochoty usłyszeć więcej.

Jupiter zignorował go.

- Co jeszcze. Bob?

- Tylko podobne zdarzenia. Któregoś dnia do zamku wprowadziła się pięcioosobowa rodzina. Bank oferował im roczne zwolnienie z czynszu, byle tylko przełamali zły urok. Ale słuch o nich zaginął. Po prostu... zniknęli zaraz pierwszej nocy.

- Czy notowano jakieś odgłosy i zjawiska? Westchnienia, jęki, zjawy i tym podobne? - pytał Jupiter.

- Z początku nie, ale potem było tego pełno. Odległe jęki, widmowa postać wchodząca na schody, czasem westchnienia. Od czasu do czasu słyszano zduszony krzyk, dochodzący jakby z podziemi zamku. Wiele osób mówiło, że słyszały niesamowitą muzykę, jakby ktoś grał na zdezelowanych organach w jednym z pokojów. Kilku widziało nawet coś w rodzaju migotliwej, niebieskiej postaci grającej na organach. Określali ją jako Niebieską Zjawę.

- Przypuszczam, że badano te nadprzyrodzone zjawiska?

Bob zajrzał do swoich notatek.

- Istotnie, dwóch profesorów udało się do zamku dla sprawdzenia tych zjawisk. Ani nie widzieli, ani nie słyszeli wiele. Czuli tylko przez cały czas wielki niepokój. Smutek. Przygnębienie. To przekonało bank ostatecznie, że zamku nigdy nie da się sprzedać. Zostawiono go tak, jak był, odcięto tylko dojazd.

Przez dwadzieścia lat nie zanotowano ani jednego przypadku, żeby ktoś spędził tam noc. W pewnym artykule napisano, że w zamku usiłowali zagnieździć się włóczędzy i bezdomni, ale i oni nie przetrwali tam nocy. Opowiadali później takie historie, że nikt więcej

nie odważył się zbliżyć do zamku.

W gazetach i czasopismach z ostatnich lat nie było żadnych wzmianek o Zamku Grozy. W każdym razie ja niczego nie znalazłem. Zamek stoi tam w kanionie pusty i zaniedbany. Bank nigdy nie zdołał go sprzedać i nikt nie zapuszcza się w jego pobliże.

- Bardzo słusznie - powiedział Pete. - Nie poszedłbym tam za żadne pieniądze.

- Tym niemniej my udamy się tam dzisiaj - oznajmił Jupiter. - Ty i ja złożymy wstępną wizytę w Zamku Grozy, weźmiemy aparat fotograficzny, magnetofon i sprawdzimy, czy w zamku wciąż straszy. To da nam podstawę do pełniejszych badań później. Żywię głęboką nadzieję, że zamek okaże się miejscem prawdziwie nawiedzonym przez duchy. Jeśli tak, będzie dokładnie tym, czego trzeba panu Hitchcockowi do nowego filmu.

Rozdział 4

W Zamku Grozy

Notatki Boba zawierały o wiele więcej informacji o Zamku Grozy i Jupiter przeczytał wszystko uważnie. Pete powtarzał, że czwórka koni nie zaciągną go nawet w pobliże tego miejsca, ale gdy przyszedł czas wyjazdu, był gotów. Ubrał się w stare rzeczy i przyniósł magnetofon, który dostał od kolegi za kolekcję znaczków pocztowych.

Bob zaopatrzył się w notes i kilka zaostrzonych ołówków. Jupiter wziął aparat fotograficzny z lampą błyskową. Pete i Bob powiedzieli rodzicom, że wybierają się na przejażdżkę wygranym przez Juve'a samochodem. Obecność Jupitera zdawała się w oczach rodziców gwarantować bezpieczeństwo. Poza tym wiedzieli, że będzie z chłopcami szofer Worthington.

O zmierzchu pod skład złomu zajechał rolls-royce i chłopcy wsiedli. Jupiter miał mapę i pokazał na niej Worthingtonowi Czarny Kanion.

- Doskonale, proszę pana - powiedział szofer i ruszyli.

Gdy samochód pokonywał wszystkie serpentyny drogi przez wzgórza, Jupiter wydawał ostatnie instrukcje:

- Dziś jedziemy tam tylko po to, żeby się zorientować w sytuacji. Jeśli jednak coś zobaczymy, sfotografuję to. A jeśli coś usłyszymy, ty to nagrasz, Pete.

- Obawiam się, że wszystko, co usłyszysz potem z tego nagrania, będzie szczękaniem moich zębów - powiedział Pete, widząc że Worthington skręca w wąską drogę między stromymi zboczami.

- Ty, Bob - ciągnął Jupiter - poczekaś w samochodzie.

- Taką pracę lubię - zgodził się Bob. - Boże, jak tu ciemno!

Pięli się w górę wąskiej, krętej drogi, przy której nie stał ani jeden dom.

- Nic dziwnego, że nazwali ten kanion czarnym - powiedział Pete.

- Zdaje się, że trafiliśmy na przeszkodę - zauważył Jupiter.

Droga była zablokowana masą kamieni i głazów. Wzgórza w tej części Kalifornii porasta gęsto mimoza i inne krzewy, ale jest bardzo niewiele trawy. Stąd kamienie toczą się łatwo po stoku i blokują nie uczęszczaną drogę. Tutaj przywały barierę, którą ustawiono dawno temu, odcinając dojazd do zamku.

Worthington zatrzymał samochód na skraju drogi.

- Obawiam się, że dalej nie możemy pojechać. Ale sądząc z mapy, kanion kończy się

jakieś kilkaset metrów za tym zakrętem.

- Dziękuję, Worthington. Wsiadaj, Pete, idziemy na piechotę.

Wysiedli, a Worthington zawrócił ostrożnie samochód.

- Wrócimy za godzinę! - zawołał Jupiter.

- Rany, ale tu strasznie - powiedział Pete zaleknionym głosem.

Przykucnięty obok niego Jupiter nie odpowiedział. Wpatrywał się z wyężeniem przed siebie. Na samym końcu ciemnego kanionu niewyraźnie rysował się fantastyczny kształt budynku. Na tle gwiazdzonego nieba widać było okrągłą wieżę, reszta zamku tonęła niemal całkowicie w mroku. Dom stał w czole wąskiego, zasypanego głazami kanionu i dobudowany był wysoko do jego ściany, która okrywała go głębokim cieniem.

- Myślę, że powinniśmy tu przyjść w dzień - odezwał się nagle Pete. - Łatwiej będzie coś zobaczyć.

Jupiter potrząsnął głową.

- W dzień nic się tu nie dzieje. Tylko w nocy zamek przeraża ludzi do obłądu.

- Zapominasz, że ludzie z banku byli tu w dzień. Poza tym nie mam ochoty być straszony do obłądu. Już prawie tak się czuję.

- Ja też - przyznał Jupiter. - Mam wrażenie, że coś mi się trzepocze w żołądku.

- No to wracajmy - Pete odetchnął z ulgą. - Na dziś zrobiliśmy dosyć. Powinniśmy pójść do Kwatery Głównej i opracować plan.

- Ja już plan mam. - Jupiter podniósł się. - Planuję zostać w Zamku Grozy przez godzinę dzisiejszego wieczoru.

Ruszył naprzód, oświetlając zawałony kamieniami, popękany asfalt drogi. Po chwili Pete poszedł za nim.

- Gdybym wiedział, że tak to będzie wyglądało, nigdy bym nie został detektywem - narzekał.

- Poczujesz się lepiej, kiedy wyjaśnimy tajemnicę. Pomyśl, co za wspaniały start dla naszej agencji.

- Ale co będzie, jak spotkamy ducha? Albo Niebieską Zjawę, obłąkaną zmore, czy co tam straszy w tym domu?

- Właśnie na to liczę. - Jupiter klepnął aparat fotograficzny, który zwisał mu na ramieniu. - Złapiemy ducha na zdjęciu i będziemy sławni.

- Przypuścimy, że to on nas złapie, co wtedy?

- Cii... - Jupiter zatrzymał się i zgasił latarkę. Pete zamarł. Wokół panowała cisza i

ciemność.

Ktoś... lub coś szło w dół stoku, prosto w ich stronę.

Pete przykucnął. Obok niego Jupe przygotowywał się do zrobienia zdjęcia.

Czyjeś nogi roztrącały kamienie już tuż przy nich. Lampa błyskowa rozdarła ciemności i w nagłym blasku Pete zobaczył tuż przed sobą dwoje wielkich, czerwonych oczu. Potem coś włochatego czmychnęło w bok, przecięło drogę i puściło się susami po stoku. Kilka małych kamyków potoczyło się jego śladem pod stopy chłopców.

- Zając! - Jupiter był rozczarowany. - Wystraszyliśmy biedaka.

- My jego? - wykrzyknął Pete. - Jak, myślisz, ja się czuję?

- Naturalna reakcja systemu nerwowego na tajemnicze odgłosy w ciemnościach.

Naprzód! - Jupiter pociągnął Pete'a za rękę. - Nie musimy się już skradać po cichu. Jeśli jest tu jakieś widmo, lampa błyskowa już je ostrzegła.

- Czy możemy śpiewać? - zapytał Pete, z ociąganiem zrównując krok z Jupe'em. - Jeśli zaśpiewamy "Wiosłuj, wiosłuj, łódko, płyn" bardzo głośno, nie usłyszymy jęków zawodzenia ducha.

- Nie popadajmy z jednej skrajności w drugą. Powinniśmy usłyszeć zawodzenia, jęki, jak również krzyki, westchnienia, brzęki łańcuchów, co rzekomo winno towarzyszyć nadprzyrodzonym zjawiskom.

Pete stłumił chęć poinformowania swego partnera, że nie ma najmniejszej ochoty słuchać jęków, pisków, krzyków, westchnień i brzęku łańcuchów. Wiedział, że na nic się to nie zda. Kiedy Jupe wbił sobie coś do głowy, nie było sposobu, żeby mu to wybić. Był nieporuszony jak głaz.

W miarę jak się zbliżali, bezładna bryła budynku potężniała, coraz bardziej ponura i odstręczająca. Pete starał się ze wszystkich sił zapomnieć historie, które opowiadał Bob.

Pokonali ostatni odcinek drogi wzdłuż wysokiego, osypującego się stoku i weszli na dziedziniec Zamku Grozy. Jupiter przystanął.

- Jesteśmy na miejscu.

Jedna wieża wystrzeliła w niebo, wysoko nad nimi. Druga, niższa, zdawała się patrzeć groźnie w dół, na nich. Puste okna były jak oczy ślepeca, w których odbijało się tylko światło gwiazd.

Nagle coś przefrunęło nisko nad ich głowami.

- Rany, nietoperz! - wrzasnął Pete.

- Nietoperze zjadają tylko owady - przypomniał mu Jupiter. - Nigdy ludzi.

- Ten mógł zmienić sobie jadłospis. Po co ryzykować?

Jupiter wskazał szeroki portal, w którym mieściły się wielkie, rzeźbione drzwi.

- Tu jest wejście. Teraz trzeba je tylko przekroczyć.

- Gdybyś mógł przekonać o tym moje nogi. One uważają, że powinny zawrócić.

- Moje też - wyznał Jupiter. - Ale moimi nogami rządzą ja. Idziemy.

Ruszył naprzód długim krokiem. Pete nie mógł pozwolić, żeby przyjaciel wszedł sam do takiego budynku. Poszedł więc za nim. Wspięli się po zniszczonych, marmurowych schodach na wyłożony płytami taras. Jupiter sięgał do klamki, gdy Pete złapał go za ramię.

- Zaczekaj! Słyszysz tę straszną muzykę?

Stali nasłuchując. Przez chwilę skądś, z bardzo daleka zdawały się dobiegać niesamowite dźwięki. Potem słyszeli tylko nocną muzykę owadów i szmer toczących się po stokach kamieni.

- Prawdopodobnie to tylko gra wyobraźni - powiedział Jupiter, ale w jego głosie nie było zbytnej pewności. - Albo telewizor gra w następnym kanionie. Złudzenie akustyczne.

- Dobra, złudzenie! - mruknął Pete. - A co, jeśli to Niebieska Zjawa gra na zdezelowanych organach?

- W takim razie musimy koniecznie tego posłuchać. Wchodzimy.

Jupiter chwycił klamkę i nacisnął ją. Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem, które zmroziło Pete'owi krew w żyłach. Przyświecając sobie latarkami i nie czekając, aż opuści ich odwaga, weszli do długiego, ciemnego przedsionka.

Przez otwarty portal wionęło na nich pełne cieni, stęchłe powietrze. Minęli portal i znaleźli się w ogromnym, wysokim na dwie kondygnacje holu. Jupiter zatrzymał się.

- Jesteśmy w środku. To jest główny hol. Zostaniemy tu godzinę, potem możemy wyjść.

- Wyjść - rozległ się niski, niesamowity szept.

Rozdział 5

Upiorne echo

- Słyszałeś to?! - wykrzyknął Pete. - Duch nam powiedział, że mamy wyjść. Chodźmy stąd. Pewnych rzeczy nie trzeba mi dwa razy powtarzać.

- Czekaj! - Jupe złapał go za rękę.

- Czekaj! - powtórzył niesamowity głos.

- Tak myślałem - stwierdził Jupiter. - To po prostu echo. Ten hol jest bardzo wysoki i okrągły. Łukowate ściany dobrze odbijają dźwięki. Pierwszy właściciel zamku, pan Terrill, celowo go tak zbudował. Nazwał go Holem Echa. Powtarza, co się gada.

- Zagłada - Pete'owi zdawało się, że echo szepce mu to do ucha. Ale wiedział, że Jupe ma rację i nie mógł pozwolić, żeby echo go straszło.

- Żartuję tylko - powiedział. - Od początku wiedziałem, że to echo.

I roześmiał się głośno.

Natychmiast hol rozbrzmiał niesamowitym śmiechem. Każda ściana zdawała się powtarzać: "Cha-cha-cha!" Wreszcie śmiech zamarł w końcowym, wywołującym dreszcz chichocie.

Pete przełknął głośno ślinę.

- Czy ja to zrobiłem?

- Tak i proszę, nie rób tego więcej - szepnął Jupe.

- Nie bój się. Za nic na świecie.

- Chodź tutaj. - Jupiter odciągnął go na bok. - Teraz możemy spokojnie rozmawiać. Echo odzywa się tylko wtedy, kiedy się stoi pośrodku holu. Chciałem je zbadać jako przypuszczalne źródło nadprzyrodzonych zjawisk słuchowych, o jakich donoszono w przeszłości.

- Mogłeś mnie uprzedzić.

- Bob wspominał w swoich notatkach o Holu Echa. Po prostu nie przeczytałeś ich uważnie.

- Ale czytałem o pięcioosobowej rodzinie, o której słuch zaginął po jednym wieczorze spędzonym tutaj.

- Mogli po prostu wrócić tam, skąd przyjechali. Tym niemniej, prawdą jest, że nikt przez dwadzieścia lat nie zdołał tu spędzić całej nocy. Naszym zadaniem jest dowiedzieć się, co tak wszystkich przerażało. Jeśli był to prawdziwy duch, nadprzyrodzona obecność byłego

właściciela, Stephena Terrilla, dokonamy ważnego odkrycia naukowego.

- A cóż innego to mogło być?

Pete wodził światłem latarki po zaokrąglonych ścianach holu. Zobaczył biegnące ślimakiem schody na piętro, ale w żadnym wypadku nie zamierzał na nie wchodzić. Widział też zbutwiałe kilimy, a pod nimi drewniane rzeźbione ławy. W kilku niszach stały stare zbroje.

Wyżej na ścianach wisiało kilka dużych obrazów. Pete oświetlał je kolejno. Były to portrety tego samego, jak się zdawało, mężczyzny w różnych kostiumach. Na jednym był angielskim szlachcicem, na innym garbusem, dalej cyrkową maskarą, wreszcie jednookim piratem.

Pete domyślił się, że są to portrety Stephena Terrilla w jego sławnych rolach z niemych filmów. Jupiter przerwał koledze kontemplację.

- Zazwyczaj upływa trochę czasu, nim Zamek Grozy zaczyna działać na tych, którzy do niego wchodzi. Na początku odczuwają tylko niejasny niepokój. Potem następuje uczucie wielkiego zdenerwowania, które przeradza się w paniczny strach.

Pete słuchał tylko jednym uchem. Nadal przesuwiał snop światła z obrazu na obraz i w pewnym momencie zobaczył coś, co spowodowało jego niepokój, po którym natychmiast przyszło wielkie zdenerwowanie.

Jedne oko pirata na obrazie wpatrywało się w niego! Drugie oko było zakryte czarną klapką, ale to zdrowe z całą pewnością na niego patrzyło. Błyszczało czerwonym blaskiem i kiedy Pete wpatrywał się w nie dłużej, mrugnęło.

- Jupe! - zawołał piskliwie. - Ten obraz. On na nas patrzy!

- Złudzenie. Kiedy model podczas malowania portretu patrzy przed siebie, jego oczy na obrazie zdają się spoglądać na ciebie, gdziekolwiek byś stanął.

- Ale to oko nie jest namalowane! Jest prawdziwe. Namalowany obraz z prawdziwym okiem!

- Mylisz się. To oko na pewno jest namalowane. Chodź się przyjrzeć z bliska.

Podszedł do obrazu i po chwili wahania Pete przyłączył się do niego. Oświetlili portret i Pete zobaczył, że Jupe ma rację. Oko było namalowane. Wyglądało bardzo prawdziwie, ale nie miało błysku żywego oka.

- Chyba się myliłem, ale mógłbym przysiąc, że mrugnęło... Och! Czy też to czujesz?

- Czuję zimno - powiedział Jupiter zaintrygowany. - Weszliśmy w strefę niższej temperatury. Strefy zimna są często spotykane w domach, w których straszy.

- Więc to jest taki dom - Pete'owi szczękały zęby. - Też czuję zimno, jakby tędy

maszerował cały pochód duchów. Mam gęsią skórę! Boję się! Tak. Po prostu się boję!

Pete usiłował opanować dzwoniące zębów. Owiewał go lodowaty prąd powietrza, który dochodził znikąd. Wtem zobaczył nikłe, wiotkie wici mgły. Zaczęły formować jakiś kształt w powietrzu, jakby duch się materializował. W tym momencie niepokój Pete'a, który przeszedł już w duże zdenerwowanie, zaczął urastać do panicznego strachu.

Odwrócił się. Nie zamierzał tego zrobić. To jego nogi same wykonały zwrot i zabrały go prosto do drzwi wejściowych, a potem biegły rączo, niczym nogi jelenia, przez stary dziedziniec.

Tuż za nim biegł Jupe. Po raz pierwszy w życiu Pete widział, żeby Jupiter Jones biegł tak szybko.

- Podobno twoje nogi muszą cię słuchać! - krzyknął.

- Zgadza się! Właśnie kazałem im biec! - odkrzyknął Jupiter.

Sadzili więc obaj wielkimi susami. Światła latarek tańczyły przed nimi dziko, a w tyle pozostawał cichy, ponury Zamek Grozy i straszne, przemożne uczucie wszechogarniającej trwogi.

Rozdział 6

Upiorny telefon

Jupiter tak pędził, że długonogi Pete miał trudności w dotrzymaniu mu kroku. Wtem serce zabiło mu mocniej. Usłyszał kroki za sobą!

- Ktoś... - wykrztusił - ktoś nas goni!

Jupiter potrząsnął głową.

- To tylko... echo... - wysapał.

W uszach Pete'a jednak kroki brzmiały dziwnie, wcale nie jak echo... nawet nie jak ludzkie kroki. Ale kiedy zostawili ścianę za sobą, kroki gwałtownie ustały. Widocznie Jupe miał rację.

Tym niemniej Pete wiedział, że to nie echo wywołało obezwładniające uczucie grozy, jakie go opanowało w okrągłym holu zamku. Za żadną cenę nie mógłby się powstrzymać od ucieczki.

Zwolnili przed wielkimi głazami, zwężającymi drogę do ścieżki. Ale po przejściu między nimi podjęli bieg.

Wzięli zakręt i nie widać już było wielkiego, przerażającego budynku. Daleko w dolinie przed nimi migotały światła Los Angeles, a tuż, o sto metrów, stał samochód i ich angielski szofer czekał za kierownicą.

Przeszli w lekki trucht, gdy, nieoczekiwanie, daleko za nimi rozbrzmiał przeraźliwy krzyk. Był dziwny i przeszywający. Towarzyszyło mu jakieś charczenie czy bulgotanie... ale Pete wolał nie myśleć, co mogło wywołać po jego wyjściu tego rodzaju krzyk.

Dopadli wielkiego rolls-royce'a, jego złote okucia połyskiwały w świetle gwiazd. Ktoś rozwarł drzwi i Pete rzucił się do środka, siadając obok oczekującego Boba. Bob przyciągnął go do siebie, żeby zrobić miejsce dla Jupe'a. Ten rzucił się na siedzenie i zawołał:

- Worthington! Proszę nas zabrać do domu.

- Doskonale, proszę pana - odparł dystyngowany szofer i ruszyli z cichym pomrukiem. Potem mknęli coraz szybciej ku dolinie, biorąc gładko zakręty drogi.

- Co się stało? - zapytał Bob dyszących ciężko na skórzanych poduszkach samochodu przyjaciół. - Co to był za krzyk?

- Nie wiem - powiedział Jupiter.

- Ja nie chcę wiedzieć i Jeśli ktokolwiek wie, mam nadzieję, że mi nie powie -

oznajmił Pete.

- Ale jak było? Czy widzieliście Niebieską Zjawę?

Jupiter potrząsnął głową.

- Nic nie widzieliśmy, ale i tak wystraszyliśmy się do utraty rozsądku.

- Poprawka - mruknął Pete. - Od początku nie mieliśmy go wiele, a potem straciliśmy rozum do reszty.

- Więc w zamku rzeczywiście straszy? - ożywił się Bob. - Wszystkie te historie były prawdziwe?

- Moim zdaniem - oświadczył Pete, który oddychał swobodniej, w miarę jak się oddalali - zamek jest główną siedzibą związku duchów, upiorów i wilkołaków całej Ameryki. Jest miejscem, do którego się nie wraca, prawda?

Odwrócił się do Jupitera, który rozparty na siedzeniu skubał palcami dolną wargę, co zawsze oznaczało głębokie zamyślenie.

- Nie pójdziemy tam więcej, co, Jupe? - powtórzył Pete z nadzieją. Ale Jupiter zdawał się go nie słyszeć. Spoglądał przez okno pędzącego samochodu i szczypał wargę w milczeniu.

Gdy w końcu zajechali pod skład złomu, Jupiter podziękował Worthingtonowi i powiedział, że zatelefonuje, gdy znowu będą go potrzebować.

- Następnym razem życzę panu więcej szczęścia - odparł szofer. - Muszę powiedzieć, że cieszy mnie tego rodzaju praca. Znaczna odmiana po wożeniu grubych biznesmenów i starszych pań.

Odjechał, a Jupiter z przyjaciółmi weszli do składu. Wujek Tytus i ciocia Matylda byli już w swym małym domu naprzeciw. Widać ich było przez otwarte okno siedzących w pokoju przed telewizorem.

- Jest jeszcze wcześniej - powiedział Jupiter. - Wróciliśmy szybciej, niż planowałem.

- Jak dla mnie, nie dość wcześniej - mruknął blady ze zdenerwowania Pete.

Jupiter był również blady, jednak uparcie nie potrafił przyznać się do własnego strachu.

- Mam nadzieję, że nagrałeś ten krzyk - powiedział. - Posłuchamy go i postaramy się rozpoznać jego źródło.

- Ty masz nadzieję, że nagrałem krzyk?! - wrzasnął Pete. - Może tego nie zauważyłeś, ale byłem zajęty uciekaniem.

- Poleciałem ci nagrać wszystkie niezwykle dźwięki. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, nie robię ci wymówek.

Jupiter ruszył ku Łatwej Trójce, jak nazywali najprostsze wejście do Kwatery

Głównej. Stanowiły je duże dębowe drzwi z ramą, które zdawały się opierać o stertę granitowych bloków z wyburzonego budynku.

Jupiter wyłowił z pudła ze szpargałami, do którego nikt nigdy nie zaglądał, zardzewiały klucz. Włożył go do zamka i otworzył drzwi. Weszli przez nie do starego, żelaznego kotła, niegdyś stanowiącego część jakiejś monstrualnej maszyny parowej. Przez okrągły otwór w przeciwległej ścianie kotła przeczołgali się wprost do swego biura. Jupiter zapalił światło i usiadł za biurkiem.

- Teraz dokonamy oceny tego, co zaszło. Pete, co cię zmusiło do ucieczki z Zamku Grozy?

- Nic mnie nie zmusiło. Uciekłem, bo chciałem.

- Postawię ci pytanie inaczej: co sprawiło, że chciałeś uciec?

- No więc, najpierw w Holu Echa odczułem niepokój. Tylko niepokój. Po małej chwili byłem już krańcowo zdenerwowany. Potem to zdenerwowanie przeszło w straszliwy lęk i wtedy chciałem uciec.

- Hmm... - Jupiter szczypał wargę. - Twoje odczucia pokrywają się całkowicie z moimi. Najpierw niepokój, potem krańcowe zdenerwowanie, wreszcie groza. Ale co właściwie się stało? Słyszeliśmy echo, poczuliśmy zimny prąd powietrza...

- Lodowato zimny - poprawił Pete. - A ten obraz, który patrzył na nas żywym okiem?

- To było prawdopodobnie tylko złudzenie - powiedział Jupiter. - Naprawdę ani nie widzieliśmy, ani nie słyszeliśmy niczego, co mogłoby nas przestraszyć. A jednak odczuliśmy strach. Dlaczego?

- Jak to, dlaczego? - zdziwił się Pete. - W każdym starym, opuszczonym domu trochę strasy, a ten jest tak przerażający, że samego diabła by wystraszył!

- Może to jest odpowiedź - zgodził się Jupiter. - Musimy ponownie odwiedzić Zamek Grozy i...

W tym momencie zadzwonił telefon. Wszyscy trzej utkwili w nim wzrok. Telefon nigdy dotąd nie dzwonił. Jupiter załatwił jego zainstalowanie niecały tydzień temu, kiedy ostatecznie zdecydowali się na otwarcie swojej agencji. Zamierzali opłacać go pieniędzmi zarobionymi pracą w składzie. Aparat zarejestrowano na nazwisko Jupitera, ale oczywiście nie figurował jeszcze w książce telefonicznej. Nikt nawet nie wiedział, że mają telefon, a teraz dzwonił!

Rozległ się drugi sygnał. Pete przełknął głośno ślinę.

- No, odbierz.

Jupiter podniósł słuchawkę.

- Halo? - powiedział i powtórzył: - Halo?

Trzymał słuchawkę blisko zmontowanego z części starego radia mikrofonu z głośnikiem, co pozwalało pozostałym słyszeć rozmówcę. Ale z głośnika wydobywał się tylko odległy szum.

- Halo! - powtórzył raz jeszcze i kiedy nadal nie było odpowiedzi, odłożył słuchawkę.

- Pewnie pomyłka. Więc, jak mówiłem...

Telefon znowu zadzwonił.

Patrzyli na aparat. Jupiter sięgnął opornie, jakby ktoś trzymał go za ramię, po słuchawkę.

- Hm... halo?

Znowu dziwny szmer, daleki i samotny. Potem usłyszeli głos, tak bełkotliwy, jakby mówiący nie używał go od lat.

- Trzymaj się... - powiedział i z wysiłkiem, straszliwym, niewyobrażalnym wysiłkiem, wykrztusił następane słowa: - z daleka...

Głos zamarł w przeciągłym westchnieniu i słyszeć było tylko ten dziwny szum.

- Od czego mam się trzymać z daleka? - zapytał Jupiter.

Nie było odpowiedzi. Tylko szum.

Jupiter odłożył słuchawkę. Wszyscy trzej siedzieli w milczeniu przez długą chwilę. Wreszcie Pete wstał.

- Muszę iść do domu. Właśnie przypomniałem sobie, że mam coś do zrobienia.

- Ja też. - Bob zerwał się z krzesła. - Idę z tobą.

Jupiter zabrał się również do wyjścia.

- Pewnie ciocia Matylda mnie potrzebuje.

Praktycznie nadeptywali sobie nawzajem na pięty, by co prędzej wyjść z Kwatery Głównej.

Głos w telefonie nie dokończył zdania, ale nietrudno się było domyślić, co ktoś... lub coś starało się powiedzieć:

Trzymaj się z daleka od Zamku Grozy!

Rozdział 7

W potrzasku

- Mamy problem - powiedział Jupiter, gdy siedli następnego popołudnia z Pete'em w Kwaterze Głównej. Bob był zajęty w bibliotece. - Właściwie mamy dwa problemy - dodał.

- Mogę ci powiedzieć, jak oba rozwiązać. Zatelefonuj do pana Hitchcocka i powiedz mu, że zdecydowaliśmy się nie szukać dla niego domu, w którym straszy - poradził Pete. - Powiedz, że kiedy się tylko do takiego domu zbliżamy, dostajemy straszliwej gęsiej skórki. Powiedz, że nogi nam odmawiają posłuszeństwa i same zaczynają uciekać.

Jupiter zignorował tę radę.

- Pierwszy problem to ustalenie, kto do nas wczoraj telefonował.

- Nie kto, ale co. Czy to był duch, widmo czy wilkołak.

- Przypadki, żeby bezcielesne zjawy używały telefonu, nie są znane. Ani też wilkołaki i inne strachy.

- W dawnych czasach. Obecnie mogły się przystosować do nowoczesności. Wczoraj wieczorem to nie brzmiało dla mnie jak ludzki głos.

Jupiter zachmurzył się i na jego okrągłej twarzy odmalował się niepokój.

- Zgadzam się z tobą - powiedział. - Co czyni nasz problem bardziej kłopotliwym, to fakt, że poza nami i Worthingtonem żywa dusza nie wiedziała o naszej wczorajszej wizycie w Zamku Grozy.

- A co z nieżyjącymi duszami?

- Jeśli Zamek Grozy jest istotnie nawiedzany przez duchy, musimy to udowodnić. Będzie to sukces, który uwieńczy nasze dzieło. Trzeba dowiedzieć się więcej o Stephenie Terrillu. Skoro rzucił na swój zamek klątwę, można założyć, że to jego duch straszy tam teraz.

- To brzmi rozsądnie - przyznał Pete.

- W pierwszej kolejności należy więc odnaleźć kogoś, kto znał Stephena Terrilla za czasów jego świetności filmowej i może nam o nim coś więcej powiedzieć.

- Ale to było tak dawno! Kto da się teraz odnaleźć?

- Nam się wydaje, że to bardzo dawno, bo jesteśmy młodzi. W Hollywoodzie musi być wciąż wiele osób, które go znały.

- Tak myślisz? Wymień chociaż dwie.

- Jedna, na którą możemy z pewnością liczyć, to człowiek, który prowadził jego

sprawy: Szeptacz.

- Szeptacz? Co to za nazwisko?

- To jest przezwisko. Nazywa się Jonathan Rex. Tu masz jego fotografię.

Jupiter podał mu odbitkę artykułu z gazety, gdzie umieszczone było zdjęcie. Na nim dość wysoki, kompletnie łysy mężczyzna z długą, brzydką blizną na szyi wymieniał uścisk z drugim, niższym mężczyzną o miłej powierzchowności, brązowych oczach i raczej smutnym uśmiechu. Wysoki miał skośne, okrutne oczy.

- O rany! - wykrzyknął Pete. - To tak wyglądał Stephen Terrill?! Nie musiał się charakteryzować, żeby straszyć ludzi. Te oczy i blizna wystarczą, żeby człowieka zmrozić na amen.

- Patrzysz na niewłaściwego faceta. Terrill to ten niższy o tak przyjacielskim i niewinnym wyglądzie.

- Ten? On grał te wszystkie potwory? Taki miły facet?

- Miał przeciętną twarz, ale, jeśli tylko chciał, potrafił jej nadać wyraz diaboliczny. Powiadano, jeśli tego nie czytałeś...

- Skoncentrowałem się na części o duchach.

- No więc powiadano, że poza planem filmowym Stephen Terrill był tak onieśmielony swoim seplenieniem, że niemal z nikim nie rozmawiał. Dlatego najął Szeptacza do prowadzenia swoich spraw. Ten nie miał żadnych trudności w wynegocjowaniu korzystnych warunków dla swojego klienta.

- O, mogę w to uwierzyć! Wygląda, jakby wyciągał nóż, gdy tylko ktoś odważył się powiedzieć "nie".

- Gdyby udało się go znaleźć, jestem pewien, że powiedziałyby nam wszystko, co chcemy wiedzieć.

- Na pewno, ale jak go znaleźć? Masz jakiś pomysł?

- Mam książkę telefoniczną. Może wciąż mieszka w pobliżu. Pete pierwszy znalazł nazwisko.

- Jest! Jonathan Rex. Winding Valley Road, numer 915. Czy zatelefonujemy do niego?

- Myślę, że lepiej będzie złożyć mu wizytę bez uprzedzenia. Ale zatelefonujemy po samochód.

- Genialna sprawa z tym samochodem - mówił Pete, podczas gdy Jupiter wykręcał numer agencji. - Wolę nie myśleć, co będzie, kiedy upłynie te trzydzieści dni.

- Mam pewien plan - powiedział Jupiter po załatwieniu telefonu. - Ale to dotyczy

przyszłości. Powiem lepiej cioci Matyldzie, że się spóźnię na kolację.

Pani Jones zgodziła się, żeby wrócił później. Ale kiedy Worthington zajechał wielkim, lśniącym samochodem, pokręciła głową.

- Litości, Jupiterze. Sama nie wiem, co wymyślisz następnym razem. Rozbijać się autem jakiegoś arabskiego szejka! W głowie ci się przewróci! Zapamiętaj moje słowa!

Nie wyjaśniła dokładnie dlaczego, a Jupiter nie przejął się zbyt tą perspektywą, sadowiac się wygodnie na skórzanym fotelu.

Worthington musiał przestudiować kilka map, żeby znaleźć Winding Valley Road. Zaczynała się w znacznej odległości od nich, po drugiej stronie pasma wzgórz. Jechali już górską drogą, gdy Jupiter doznał jednego ze swych częstych momentów natchnienia.

- Worthington - powiedział - zdaje mi się, że o ponad kilometr stąd dalej jest wjazd do Czarnego Kanionu.

- Tak, proszę pana. Tuż przed zjazdem do doliny.

- Wstąpmy więc najpierw do Czarnego Kanionu. Chcę się upewnić co do czegoś.

Po kilku minutach wjechali do wąskiego kanionu, z którego w takim popłochu uciekali poprzedniego wieczoru. Przy dziennym świetle wyglądał mniej ponuro, ale tylko trochę mniej. Dojechali do miejsca, gdzie przegniła bariera i obsunięte ze zboczy kamienie blokowały drogę.

- Patrzcie! - wykrzyknął Worthington. - Świeże ślady opon pokrywają naszą wczorajszą trasę. Wahałem się, czy panów o tym poinformować, ale odniosłem wrażenie, że ktoś za nami jechał. Nie byłem jednak pewien.

Ktoś jechał za nimi? Pete i Jupiter wymienili spojrzenia.

- Następną tajemnicą godną przemyślenia - powiedział Jupiter. - Ale odłóżmy to na później. Teraz chcę się rozejrzeć wokół Zamku Grozy.

- Dobra! - zgodził się Pete. - Dopóki nie wchodzimy do środka, nie zgłaszam sprzeciwów.

Za dnia przemierzyli błyskawicznie wąską, zawałoną kamieniami drogę i wkrótce stanęli przed zamkiem.

- Pomyśleć, że weszliśmy do środka po ciemku. Brr! - wzdrygnął się Pete.

Jupiter poszedł przodem wokół budynku, oglądając uważnie jego zaplecze i strome stoki powyżej.

- Szukamy czegoś, co by wskazywało, że ktoś używa tego domu jako kryjówki - wyjaśnił. - Odciski stóp, nieuważnie rzucony niedopałek papierosa, jakikolwiek ślad czyjejś obecności.

Po długich i szczegółowych poszukiwaniach nie znaleźli jednak niczego. Przystanęli pod boczną ścianą budynku, żeby odpocząć.

- Absolutnie żadnych śladów, świadczących o tym, żeby jakiś człowiek tu wchodził lub wychodził - powiedział Jupiter z zadowoleniem. - Jeśli mimo to ktoś jest w zamku, jest to obecność nadprzyrodzona. To właśnie zamierzamy udowodnić.

- Ja mogę uwierzyć na słowo - odpowiedział Pete.

W tym momencie bardzo ludzkie wrzaski poderwały ich z miejsca. Spojrzeli w stronę drzwi wejściowych i zobaczyli dwie postaci wybiegające z krzykiem przerażenia i gnające dalej jak opętane. Jeden z uciekających potknął się i wyciągnął jak długi. Coś błyszczącego wypadło mu z ręki i potoczyło się na skraj drogi. Stanął i nie podnosząc przedmiotu, popędził za swym towarzyszem.

- No, to z pewnością nie były duchy - powiedział Pete, przychodząc do siebie po zaskoczeniu. - Ale sądząc po ich zachowaniu, musieli właśnie zobaczyć kilka duchów.

- Szybko! - Jupiter puścił się w dół drogi z zadziwiającą szybkością. - Musimy ich sobie obejrzyć z bliska.

Pete pognał za nim. Dwaj uciekinierzy znikli im już z oczu. Jupiter dobiegł do miejsca, gdzie jeden z nich coś upuścił, i podniósł kosztowną latarkę z wygrawerowanymi na niej literami.

- E.S.N. - odczytał. - Kogo to ci przywodzi na myśl?

- E. Skinner Norris! - wybuchnął Pete. - Chudy Norris! Ale to niemożliwe! Skąd on się tu wziął?

- Pamiętasz, jak Bob mówił, że Chudy kręcił się koło niego w bibliotece i potem przepadła nasza wizytówka? A Worthington, któremu się zdawało, że ktoś za nami jedzie? Akurat w stylu Chudego wyniuchać, co robimy, i potem starać się nas wyprzedzić i pokrzyżować nam, co się tylko da.

- Tak - przyznał Pete w zamyśleniu. - Chudy zrobiłby wszystko, żeby choć raz okazać się lepszym od nas. Ale tym razem nawet jeśli z którymś ze swoich kumpli wszedł do Zamku Grozy, to na pewno uciekali w popłochu !

Zachichotali, ale Jupiter zaraz spoważniał.

- My też wyszliśmy w pośpiechu - powiedział chowając latarkę w kieszeni. - Tyle tylko że pójdziemy tam znowu, a Chudy, jestem pewien, nie odważy się nigdy. Właściwie zdecydowałem się iść tam od razu i rozejrzeć się po zamku przy dziennym świetle.

Nim Pete zdążył zaprotestować, wysoko nad nimi rozległ się łoskot. Spojrzeli w górę.

Toczył się na nich olbrzymi głaz! Pete chciał skoczyć w bok, ale Jupiter go zatrzymał.

- Czekaj! Minie nas o parę metrów.

Istotnie kamień spadł z potwornym hukiem na drogę o dziesięć metrów od nich. Roztrzaskał asfalt i potoczył się dalej.

- Gdyby nas trafił, w Zamku Grozy byłyby dwa nowe duchy - powiedział Pete drżącym głosem.

- Patrz! - Jupiter złapał go za ramię. - Tam na górze ktoś się kryje za krzakami. Założę się, że to Chudy tam wlaźł i stoczył na nas kamień.

- Jeśli tak, damy mu nauczkę! Chodź, Jupe, damy mu nauczkę!

Obaj zaczęli się wspinać po skalistym zboczu, pokonując obluzowane kamienie i karłowate krzewy. Postać nad nimi zaczęła się oddalać. Okrążyli wystającą skałę i zatrzymali się dla złapania tchu. Stali na wprost wąskiej, nierównej szczeliny, która biegła w głąb stoku. Kiedyś trzęsienie ziemi wstrząsnęło wzgórzem i rozłupało skałę wzdłuż naturalnego pęknięcia.

Zagłądali właśnie do rozpadliny, gdy nagły łomot zwrócił ich uwagę. Spojrzeli w górę. Istna lawina kamieni i głazów toczyła się po stoku w ich stronę.

Pete zamarł. Jupiter jednak zareagował bez chwili wahania. Złapał przyjaciela za ramię i wciągnął go, jak się dało najgłębiej, do rozpadliny. Parę sekund później przez otwór szczeliny przetoczyły się z potężnym hukiem kamienie i obsunięta wraz z nimi ziemia. Kilka mniejszych kamieni wpadło do środka. Cała masa spiętrzyła się na półce skalnej u wejścia do rozpadliny, tworząc ścianę, która praktycznie zamurowała ich w środku. Reszta głazów spadła z łomotem na drogę.

Rozdział 8

Człowiek z blizną

Dopiero gdy zamarł huk lawiny, chłopcy zdali sobie sprawę, że otaczają ich kompletne ciemności. W powietrzu unosił się suchy pył kamienny.

- Jupe - powiedział Pete, kaszląc - nie wyjdziemy stąd. Wpadliśmy w potrzask! Udusimy się tutaj.

- Póki pył nie opadnie, oddychaj przez chusteczkę. - Jupiter odszukał go w ciemnościach i położył mu rękę na ramieniu. - Nie martw się o brak powietrza. Ta rozpadlina musi być głęboka, więc na razie jest w niej czym oddychać. Dzięki Chudemu mamy chociaż latarkę.

- Dzięki Chudemu jesteśmy tutaj! - krzyknął gniewnie Pete.

- Poczekaj, niech ja go dorwę. Skręcę mu kurzą szyję!

- Niestety nie mamy dowodu, że to on zepchnął na nas te kamienie.

Zapalił latarkę i strumień światła rozjaśnił ciemności. Jupiter zataczał powoli krąg świetlny. Znajdowali się w rodzaju grotu o wysokości około metra osiemdziesięciu i szerokości około metra. Głębiej zwężała się do pęknięcia, które zdawało się ciągnąć daleko w głąb zbocza, ale do którego nie sposób było wejść.

Otwór zawalony był teraz wielkimi głazami, mniejsze kamienie spiętrzyły się na nich, a szpary między nimi wypełniała ziemia.

- Nasze wyjście jest dokładnie zabarykadowane - stwierdził Jupiter.

- Nawet w takiej sytuacji musisz używać wielkich słów! - zirytował się Pete. - Nie możesz po prostu powiedzieć, że nie da się wyjść? Utknęliśmy w tej dziurze.

- Nie mogę powiedzieć, że nie da się wyjść, skoro fakt ten nie został udowodniony. Pomóż mi wypchnąć te kamienie. Jeśli zdołamy je ruszyć...

Ale nie zdołali. Wpierali się w barykadę całym ciężarem ciała. Bez skutku. Wyczerpani, łapiąc z trudem oddech, zaniechali wysiłków.

- W końcu Worthington zacznie nas szukać - powiedział Pete ponuro. - Ale oczywiście nie będzie nas mógł znaleźć. Potem zatelefonuje po policję i skautów i oni będą nas szukać. Ale przez te wszystkie kamienie nikt nie usłyszy naszych krzyków i jeśli nas w końcu znajdą, to gdzieś w przyszłym tygodniu. A do tego czasu... Co ty robisz?

Jupiter ukląkł i przyświecając sobie latarką, przypatrywał się podłożu grotu.

- Pod pyłem widzę popiół ogniska. Widocznie jakiś wędrowiec znalazł tu kiedyś

schronienie...

Rozgarnął ziemię i wyciągnął gruby kij, przeszło metrowej długości. Jeden koniec kija był zaostroszony w szpic, złamany zresztą, a cały kij był osmalony.

- Na tym smażył coś nad ogniem. Bardzo cenne znalezisko.

Pete popatrzył na kij z powątpiewaniem. Leżał na ziemi od dawna i był kruchy.

- Na podważenie głazu jest za słaby - powiedział. - Jeśli to miałeś na myśli.

- Nie, nie to.

Kiedy Jupe miał jakiś plan, wołał zazwyczaj nie ujawniać go z góry. Lubił sprawdzić najpierw jego skuteczność. Pete nie zadawał więc pytań, kiedy jego zażywny towarzysz odpiął z paska swój wspaniały scyzoryk z ośmioma ostrzami i otworzywszy duże ostrze, zabrał się do pracy nad zwęglonym szpicem kija.

Kiedy szpic był już odpowiednio ostry, Jupe stanął przed ścianą z kamieni i ziemi i obejrzał dokładnie całą jej powierzchnię. Wybrał miejsce blisko narożnika i wetknął ostrze kija w ziemię między kamieniami. Po chwili kij napotkał przeszkodę. Jupiter wyciągnął go i wetknął o parę centymetrów obok. Następnie wyszukiwał szczeliny między kamieniami i delikatnie poruszając kijem, popychał go coraz dalej. Po minucie lub dwóch kij zagłębiał się już w ścianę z łatwością. Wreszcie Jupiter wyciągnął go, trochę ziemi wyspało się do środka, ale po kiju pozostał mały otwór, przez który wpadało światło.

Powrócił do pracy, starając się w różnych miejscach przebijać ścianę z kamieni i ziemi. Raz po raz kij natrafiał na przeszkody, ale Jupiter nie ustawał w wysiłkach. Po paru minutach usunął dość ziemi, żeby zobaczyć wyraźnie mały kamień w kształcie piłki futbolowej leżący na szczycie ściany.

- Teraz, Pete - powiedział z zadowoleniem - jeśli pchniesz ten kamień z dołu i od lewej strony tak, żeby poleciał w prawo, a nie na wprost, moja strategia powinna zostać uwieńczona sukcesem.

Pete zebrał się w sobie i wykonał wszystko, co mu Jupe polecił. Z początku kamień stawiał opór. Potem ustąpił nagle i wyskoczył ze swego miejsca. Potoczył się w dół, a wraz z nim kilkanaście innych kamieni, zostawiając w górnym rogu wejścia do groty wolną przestrzeń ponad półmetrowej długości.

- Jupe, jesteś geniuszem! - wykrzyknął Pete.

- Och, proszę! - Jupiter skrzywił się lekko. - Nie nazywaj mnie geniuszem. Usiłuję po prostu ćwiczyć moją wrodzoną inteligencję dla osiągnięcia jej pełnej sprawności.

- Niech ci będzie, ale wydostałeś nas stąd, a raczej wydostaniesz, jak przeczolągamy się przez tę dziurę.

Gdy wreszcie stanęli na stoku i zaczęli otrzępywać się z kurzu, Pete'owi zrzedła mina.

- Rany, popatrz, jak my wyglądamy! Istne straszzydła!

- Możemy przed wizytą u pana Rexa umyć twarze i ręce i oczyścić z grubsza ubrania na stacji benzynowej.

- To chcesz jednak odwiedzić pana Rexa? - zapytał Pete, a Jupiter szedł już drogą, teraz bardziej niż kiedykolwiek zawałoną kamieniami. Wracali do samochodu.

- Tak - odpowiedział. - Zrobiło się za późno, żeby obejrzeć zamek w dziennym świetle. Ale mamy dość czasu na zobaczenie się z panem Rexem.

Worthington, który chodził tam i z powrotem, wydał na ich widok okrzyk ulgi:

- Panie Jones! Zaczynałem się niepokoić. - A widząc stan ich ubrań, twarzy i rąk, zapytał: - Czy coś się wam przytrafiło?

- Nic poważnego - odpowiedział Jupiter. - Proszę mi powiedzieć, Worthington, czy jakieś czterdzieści minut temu przechodzili tędy dwaj chłopcy?

- To było ponad czterdzieści minut temu. Nadbiegło dwóch wyrostków i kiedy mnie zobaczyli, zбочyli z drogi - mówił Worthington, podczas gdy sadowili się w samochodzie. - Weszli między krzaki poniżej. Po chwili wyjechał stamtąd z rykiem niebieski, sportowy wóz.

Pete i Jupiter wymienili spojrzenia. Chudy Norris miał niebieski sportowy samochód.

- Potem - ciągnął Worthington - usłyszałem hałas toczących się z góry kamieni. Kiedy wciąż nie wracaliście, zacząłem się obawiać, czy nie jesteście w niebezpieczeństwie. Moim obowiązkiem jest nie spuszczać z oka tego samochodu, mimo to poszedłbym was szukać, gdybyście się nie zjawili w ciągu najbliższych minut.

- Więc hałas spadających kamieni rozległ się po odjeździe tamtych chłopców? - zapytał Jupiter.

- Zdecydowanie po ich odjeździe. Dokąd jedziemy, proszę pana?

- Winding Valley Road, numer 915 - Jupiter podał adres z roztargnieniem.

Pete wiedział, co zaprzęta jego myśli. Jeśli Chudy z koleśmi odjechali przed lawiną, kto zepchnął kamienie i uwięził ich w skalnej rozpadlinie? Spojrzał na przyjaciela. Jupiter oczywiście szczypał wargę.

- Tajemnica nowych śladów opon jest rozwiązana - powiedział wreszcie. - Oczywiście, że zostawił je samochód Chudego Norrisa. Pytanie: kogo widzieliśmy w kanionie po ucieczce Chudego z koleśmi?

- Jakiś typ, co wziął i znikł. W każdym razie ani duch, ani widmo, ani inne straszzydło.

Rozdział 9

Złowieszcze duchy

Łysy człowiek z blizną zbliżył się do nich błyskawicznie.

- Stójcie, chłopcy! - wyszeptał. - Ani kroku, jeśli wam życie miłe!

Pete'a nie trzeba było ostrzegać. Nie mógł się ruszyć. Wtem maczeta śmignęła między nim a Jupe'em. Wbiła się w ziemię za ich stopami, a człowiek z blizną wydał okrzyk zawodu.

- Nie trafiłem! - szepnął.

Zdjął ciemne okulary i zamrugnął niebieskimi i całkiem przyjaznymi oczami. Wyglądał teraz dużo mniej groźnie.

- W trawie za wami był wąż - powiedział. - Nie wiem, czy grzechotnik, ale one się tu zdarzają. Chciałem go zabić maczeta, za bardzo się jednak pośpieszyłem.

Wyciągnął czerwono-białą chusteczkę i otarł czoło.

- Ścinałem poszycie na wzgórzu. Te suche zarośla są niebezpieczne w przypadku pożaru. Ależ się zgrzałem. Chcecie się napić ze mną lemoniady?

Jego ochryply szept wydawał im się teraz bardziej naturalny. Pomyśleli, że musiał to być skutek rany, która zostawiła mu tę wielką bliznę.

Zaprowadził ich do swego domku. W przegrodzonym parawanem pokoju z jednej strony stały fotele i stół, na którym czekał wielki dzban lemoniady z nie rozpuszczonymi jeszcze kostkami lodu. Za przepierzeniem znajdowały się klatki z ptakami wydającymi nieustanne wrzaski.

- Zarabiam na życie hodując papugi - wyjaśnił pan Rex, nalewając lemoniadę do szklanek. Podał je chłopcom, przeprosił ich i wyszedł z pokoju.

Jupiter w zamyśleniu popijał ze swojej szklanki.

- Co myślisz o panu Rexie? - zapytał.

- Jest chyba całkiem miły - stwierdził Pete. - Trzeba się tylko przyzwyczaić do jego głosu.

- Wydaje się bardzo przyjacielski. Zastanawiam się jednak, dlaczego powiedział, że ścinał poszycie. Miał zupełnie czyste ręce. Byłyby pokryte żdźbłami trawy i gałązek, gdyby to rzeczywiście robił.

- Po co miałby okłamywać dwóch chłopców, których w życiu nie widział?

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie wiem. Ale jeśli był od jakiegoś czasu zajęty ścinaniem zarośli, skąd się wziął

dzban lemoniady z ledwie roztopionym lodem?

- Racja. Prawdopodobnie da się to łatwo wyjaśnić. Może lubi lemoniadę.

- Każde wyjaśnienie jest łatwe, kiedy się je już zna. Tylko znaleźć je trudno.

Jupiter zamilkł, gdyż Jonathan Rex wrócił do pokoju. Przebrał się w sportową koszulę z kołnierzem i owijał właśnie szyję szalikiem.

- Niektórych ludzi razi widok mojej blizny - wyszeptał. - Dlatego w towarzystwie zakrywam ją. Pozostałość po małym zadrapaniu, jakiego nabawiłem się wiele lat temu na Archipelagu Malajskim. Ale powiedzcie, chłopcy, co was do mnie sprowadza?

Jupiter podał mu wizytówkę.

- Aha, jesteście detektywami? - powiedział pan Rex po przestudiowaniu karty firmowej. - A co takiego badacie?

Jupiter wyjaśnił, że chcieliby mu zadać kilka pytań dotyczących Stephena Terrilla. Pan Rex sięgnął po ciemne okulary, które zostawił na stole.

- Oczy mam bardzo wrażliwe na dzienne światło. Najlepiej widzę w nocy. Co was interesuje na temat mojego dawnego przyjaciela, Stephena Terrilla?

- Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy pan Terrill był człowiekiem, który mógłby stać się po śmierci mściwym duchem i straszyć każdego, kto wejdzie do jego dawnego domu? - zapytał Jupiter.

Oczy pana Rexa zdawały się patrzeć na nich przenikliwie zza ciemnych okularów.

- Bardzo dobre pytanie - stwierdził. - Pozwólcie mi odpowiedzieć tak: mój przyjaciel Stephen, mimo że grał w filmach upiory, potwory i szereg nikczemnych postaci, był w rzeczywistości człowiekiem nieśmiałym i łagodnym. Dlatego właśnie mnie potrzebował. Nie potrafił się z nikim spierać o to, co mu się należało. Obejrzyjcie sobie to zdjęcie.

Wskazał dużą, oprawioną w ramkę fotografię. Chłopcy wzięli ją ze stolika i wpatrzyli się w nią uważnie. Dwaj mężczyźni stali w drzwiach, podając sobie ręce. Jednym z nich był Szeptacz, drugi był niższy i młodszy. Najwidoczniej był to oryginał fotografii, której kopię przyniósł Bob z biblioteki. Zobaczyli na niej dedykację: "Mojemu drogiemu przyjacielowi, J. R. Steve".

- Ta fotografia pokazuje, dlaczego ja prowadziłem wszystkie jego sprawy. Umie postępować z ludźmi, nikt nie był w stanie mi się przeciwstawić - mówił pan Rex. - Taki układ pozwolił Steve'owi oddać się wyłącznie aktorstwu. Brał je bardzo poważnie. Zdolność wruszania i przerażania publiczności dawała mu dużą satysfakcję. Kiedy w ostatnim filmie jego nędzny głosik wystawił go na takie pośmiewisko, serce niemal mu pękło. Mógł znieść wszystko, byle nie to, żeby się z niego śmiano. Jestem pewien, że potraficie to zrozumieć.

- Tak, proszę pana, wiem, jak się czuł - odpowiedział Jupiter. - Ja też nie znoszę, jak się ze mnie śmieją.

- Właśnie. Po wejściu tego filmu na ekrany przez całe tygodnie nie wychodził z domu. Odprawił służbę. Ja mu robiłem wszystkie zakupy. Dochodziły go słuchy, że we wszystkich kinach, gdzie wyświetlano jego ostatni film, publiczność pokłada się ze śmiechu.

Staralem się go przekonać, że powinien o tym nie myśleć, ale Steve nie przestawał rozpamiętywać swojej porażki.

W końcu kazał mi odebrać kopie wszystkich jego filmów. Postanowił, że nikt nigdy więcej ich nie obejrzy. Zdołałem je wykupić po wysokich cenach. Musiałem mu donieść, że bank, który finansował budowę jego domu, grozi odebraniem go. Widzicie, Steven był młodym człowiekiem i spodziewał się zrobić jeszcze wiele filmów, odłożył więc bardzo mało pieniędzy. Kiedy mu o tym powiedziałem, byliśmy sami w głównym pokoju zamku. Oczy mu zapłonęły. "Nigdy mnie nie zmuszą, żebym się stąd wyniósł - powiedział. - Cokolwiek się stanie z moim ciałem, mój duch nigdy nie opuści tego zamku".

Szeptacz zamilkł. Czarne szkła jego okularów zdawały się patrzeć na nich niczym oczy jakiejś dziwnej istoty. Pete zadrżał.

- Rany! Wygląda, jakby się rzeczywiście szykował do kariery straszącego ducha!

- Tak - zgodził się Jupiter. - Ale pan mówił przedtem, że Stephen Terrill miał usposobienie bardzo łagodne. Taki człowiek nie mógłby się stać po śmierci złym duchem, który budzi grozę w każdym, kto przekroczy próg jego domu.

- To prawda, mój chłopcze - przyznał pan Rex. - Widzisz jednak, niewidzialne siły, które wprawiają wszystkich w stan skrajnego przerażenia, nie muszą być wcale duchem mego dawnego przyjaciela. Mogą to być inne, bardziej złowieszcze duchy. Podejrzewam, że to one pojawiają się teraz w zamku.

- Inne... - Pete przełknął z trudem ślinę - bardziej złowieszcze duchy?

- Tak. Widzisz, są tu właściwie dwie możliwości. Wiecie zapewne, że samochód Stephena Terrilla został znaleziony u podnóża skalistego urwiska?

Chłopcy skinęli głowami.

- Słyszeliście także o liście, który Steve zostawił i w którym napisał, że zamek będzie na zawsze przeklęty?

Ponownie skinęli głowami potakująco, nie odrywając oczu od twarzy pana Rexa.

- Policja była przekonana, że mój przyjaciel zjechał do przepaści celowo, i wierzę, że się nie mylili. Jednakże po rozmowie, o której wam mówiłem, nie widziałem już Stephena. Wyprosił mnie wtedy z zamku i kazał mi przyrzec, że więcej nie przekroczyć jego progu.

- Jakie myśli musiały go dręczyć pod koniec życia, kiedy pisał ten list? Pamiętajcie, że jego życiową misją było straszenie ludzi. Nagle ci ludzie zaczęli się śmiać. Czy nie mogło go to skłonić do straszenia po śmierci, choćby dlatego, żeby pokazać ludziom, że nie można się z niego śmiać bezkarnie?

Niezwykły Jonathan Rex zdawał się popadać w głębokie zamyślenie.

- Pan mówił o dwóch możliwościach - przypomniał mu Jupiter. - A także o innych, bardziej złowieszczych duchach.

- Ach, tak. Steve ściągnął materiał na budowę swego zamku z różnych stron świata. Pochodził on z budynków, o których mówiono, że są nawiedzane przez duchy. Z Japonii otrzymał drewno z wiekowej, zamieszkaanej przez duchy świątyni, gdzie zginęła w czasie trzęsienia ziemi pewna szlachecka rodzina.

W Anglii kupił budulec ze zrujnowanego domu, w którym powiesiła się piękna dziewczyna. Woliała śmierć niż poślubienie mężczyzny wybranego dla niej przez ojca. Z zamku nad Renem sprowadził kamienie. Podobno zamek ten był nawiedzany przez ducha szalonego muzyka więzionego wiele lat w lochach. Powiadano, że jego gra nie przypadła do gustu panującemu księciu. Po śmierci muzyka często słyszano tony, które wpędziły go w niełaskę, dochodzące z pustego pokoju muzycznego.

- Ludzie! - wykrzyknął Pete. - Jeśli ci wszyscy nieboszczycy błakają się teraz po Zamku Grozy, nic dziwnego, że trudno tam wytrzymać.

- Może się błakają, może nie - wyszeptał Jonathan Rex. - Wiem tylko, że nawet włóczędzy i złodzieje omijają Zamek Grozy z daleka. Raz na miesiąc odbywam tę całą drogę przez wzgórza, żeby pójść pod zamek i zobaczyć, w jakim stanie jest monument mego przyjaciela. Przez te wszystkie lata nie natknąłem się na żaden ślad czyjejś obecności wokół budynku.

Jupiter skinął głową. To pokrywało się z obserwacjami jego i Pete'a. Nie widział potrzeby mówienia o nieznanym osobniku, który zrzucił na nich kamienie.

- W gazetach pisano o dziwnej muzyce, jakby ktoś grał na organach pana Terrilla, i o Niebieskiej Zjawie - powiedział.

- Nic na ten temat nie mogę powiedzieć. Nigdy nie widziałem Niebieskiej Zjawy. Wiem tylko, że Steve słyszał wielokrotnie tajemniczą muzykę organową, dochodzącą z pokoju projekcyjnego. Mówił mi o tym długo przed śmiercią. Próbował zamykać pokój na klucz i wyłączać urządzenie elektryczne zasilające piszczałki organów. Mimo to muzyka rozbrzmiewała nadal. Ale kiedy tylko wchodził do pokoju projekcyjnego, milkła.

Pete'owi zaschło w gardle. Pan Rex zdjął okulary i mrugając oczami dodał:

- Nie mogę przysiąc, że w Zamku Grozy straszy mój przyjaciel czy ktokolwiek inny, ale osobiście nie przekroczyłbym progu zamku i nie spędził tam nocy za żadne pieniądze.

Rozdział 10

Nieostrożny krok

- Jupiter! - w kalifornijskim słońcu rozbrzmiewał głos cioci Matyldy. - Złóż te żelazne sztaby pod płotem. Pete! Pomóż mu nosić. Bob, czy zapisujesz wszystko?

Był to pracowity dzień w składzie złomu. Bob siedział na przewróconej do góry dnem wannie, spisywał wszystkie zakupione przedmioty i zastanawiał się, kiedy wreszcie pójdą do Kwatery Głównej porozmawiać o sprawie. Minęły dwa dni od wizyty Jupe'a i Pete'a u Szeptacza i jeszcze nie udało im się odbyć zebrania. Cały czas pani Jones goniła ich do upadłego. A kiedy już dawała im trochę spokoju, Bob musiał pójść do biblioteki, a Pete miał obowiązki w domu.

Pan Jones wpadł w szaleństwo zakupów i do składu przybywały nie kończące się dostawy złomu. Jak tak dalej pójdzie, tydzień minie, nim będą mieli na tyle spokoju, żeby usiąść i zastanowić się nad tajemniczymi kwestiami, jakie się wyłoniły.

Mogli na chwilę odetchnąć dopiero koło południa, ale w bramę składu wjechała duża ciężarówka. Wujek Jupe'a, mały mężczyzna z wielkim nosem i ogromnymi, czarnymi wąsiskami, rozsiadł się jak król we wspaniałym rzeźbionym fotelu, ustawionym na szczycie ładunku. Kiedy pan Jones jechał na zakupy, nie mógł się oprzeć niczemu, co wpadło mu w oko. Pani Jones aż pisnęła na widok ciężarówki.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła. - Tytusie Andronicusie Jones, co tym razem kupiłeś, żeby nas puścić z torbami?

Pan Jones pomachał do niej fajką. Drugą ręką przytrzymał pęk wachlarzowo ułożonych rur. Były częścią małych, około dwumetrowej wielkości organów.

- Matyldo, kupiłem organy piszczałkowe! - zawołał. - Zamierzam nauczyć się na nich grać. Hans, Konrad, chodźcie! Musimy bezpiecznie wyładować ten cenny instrument.

Zeskoczył z ciężarówki ze zręcznością chłopca. Konrad wsunął piszczałki na żelazną windę do ładowania, która była przymocowana do platformy ciężarówki. Następnie opuścił ładunek na ziemię.

- Organys piszczałkowe! - ciocia Matylda była tak wzburzona, że zapomniała pogonić chłopców z powrotem do pracy. - Co, na litość boską, zamierzasz robić z tymi organami?

Pan Jones pykał swoją fajkę.

- Zamierzam na nich grać, moja droga. W końcu kiedyś grałem w cyrku na organach parowych.

Tymczasem Hans i Konrad zdjęli z ciężarówki pozostałe części organów. Dwaj pomocnicy państwa Jonesów byli braćmi i pochodzili z Bawarii. Mieli bardzo jasne włosy i każdy z nich mierzył metr dziewięćdziesiąt. Nie było ciężaru, którego nie mogliby udźwignąć.

Pan Jones wybrał miejsce pod płotem, możliwie najbliżej domu. Hans i Konrad nosili, ciągnęli, pchali i wreszcie wszystkie części organów stały na miejscu, gotowe do złożenia.

- To są prawdziwe organy na miechy - mówił chłopcom z dumą wujek Tytus. - Znalazłem ten unikat w opuszczonym teatrze pod Los Angeles.

- Święci Pańscy - westchnęła ciocia Matylda. - Dobrze chociaż, że nie mamy w pobliżu sąsiadów.

- Weźmy teraz prawdziwie duże organy - prawil dalej wujek Tytus - takie, jakie mają w salach koncertowych. Można do nich zainstalować piszczały tak wielkie, o takiej, rozumiecie, długości i średnicy, że wydają dźwięki zbyt niskie, żeby je ludzkie ucho słyszało.

- Jeśli ich nie słyszać, wujku, to jak można powiedzieć, że to są dźwięki? - zapytał Jupiter.

- Ktoś je słyszy, może słoń, bo ma duże uszy - pan Jones zachichotał.

- Co za pożytek z organów, których się nie słyszy? - odezwał się Pete. - Bo chyba słonie nie słuchają muzyki organowej.

- Nie wiem, chłopcze, nie wiem. Przypuszczam, że naukowcy, jakby się naprawdę postarali, znaleźliby dla nich zastosowanie.

- W końcu wymyślili specjalne gwizdki na psy - zauważył Bob. - Wydają tak wysokie dźwięki, że my nie możemy ich słyszeć.

- Właśnie - przytaknął pan Jones. - Może zrobią gwizdki na słonie występujące w cyrku. I te gwizdki z kolei będą wydawać bardzo niskie dźwięki.

- Poddźwiękowe - powiedział Jupiter. - Dźwięki, a raczej wibracje zbyt niskie, żeby je słyszeć, nazywają się poddźwiękowe. Wibracje zbyt wysokie dla ludzkiego ucha są naddźwiękowe.

Byli tak zajęci oglądaniem organów, że nie zauważyli niebieskiego sportowego samochodu, który właśnie wjechał przez bramę i zatrzymał się za ich plecami. Kierowca, wysoki, bardzo szczupły chłopak z długim nosem, przycisnął klakson. Wszyscy trzej chłopcy odwrócili się wystraszeni. To wywołało wybuch śmiechu u kierowcy i jego dwóch towarzyszy.

- Chudy Norris! - wykrzyknął Pete, patrząc na wysiadającego z samochodu drągala.

- Czego ten tu chce? - mruknął Bob.

Rodzina Norrisów spędzała tylko parę miesięcy rocznie w Rocky Beach, ale dla Pete'a, Boba i Jupitera i to było za długo. E. Skinner Norris miał wysokie mniemanie o własnej inteligencji. Samochód dawał mu przewagę nad rówieśnikami i Chudy mocno się starał objąć pozycję ich lidera. Większość chłopców i dziewcząt ignorowała go, ale zdołał skupić wokół siebie kilku kumpli, których zwabiła swoboda, z jaką wydawał pieniądze, i zabawy, które urządzał u siebie w domu. To wystarczyło, by podbudować w nim poczucie ważności.

Zbliżał się teraz do Trzech Detektywów z pudełkiem od butów w ręce, a jego przyjaciele przyglądali się temu z samochodu, parszając śmiechem. Idąc wyjął z kieszeni duże szkło powiększające i udawał, że ogląda przez nie skład złomu. Pan Jones i jego pomocnicy oddalili się z jakąś częścią organów i wtedy Chudy powiedział, bardzo źle imitując angielski akcent:

- Ach, tak. Jak sądzę, miejsce jest właściwe. Charakteryzuje się niskiej jakości śmieciem, które znaleźć można jedynie w składzie Jonesa.

Ten wymuszony dowcip został nagrodzony wybuchem śmiechu z samochodu. Pete zacisnął pięści.

- Czego chcesz, Chudy?

Skinner Norris udał, że nie słyszy. Oglądał Jupitera od stóp do głów przez szkło powiększające, wreszcie schował je z powrotem do kieszeni.

- Nie możesz być doprawdy nikim innym jak Jupiterem MacSherlockiem, światowej sławy detektywem - powiedział, usiłując nadal mówić z angielska. - Jakże fortunnie się to dla mnie składa. Przynoszę ci sprawę, na której Scotland Yard połamał sobie zęby. Niesłychane morderstwo dokonane na niewinnej ofierze, które z pewnością zdołasz rozwiązać.

Wręczył pudełko Jupiterowi i po zapachu, jaki rozsiewało, wszyscy trzej chłopcy odgadli, co jest w środku. Niemniej jednak Jupiter zdjął pokrywkę i obejrzał zawartość. Chudy Norris czekał z szerokim uśmiechem.

W pudełku leżał duży, biały szczur, który musiał dość dawno rozstać się z życiem.

- Czy będziesz mógł rozwiązać tę straszną zbrodnię, MacSherlock? - zapytał Norris. - Za złapanie sprawcy ofiaruję wysoką nagrodę. Pięćdziesiąt obiegowych znaczków pocztowych.

Jego koledzy wyraźnie uznali to za szalenie dowcipne. Jupiter jednak nie zmienił wyrazu twarzy. Wolno i z godnością skinął głową.

- Mogę zrozumieć twoje pragnienie wymierzenia sprawiedliwości. Jak widzę, ofiara była twoim najlepszym przyjacielem.

Na te słowa śmiech zamarł w samochodzie, a policzki Chudego oblał rumieniec.

- Wstępne oględziny nasuwają przypuszczenie - ciągnął Jupiter - że prawdopodobnie umarł z niestrawności wywołanej połknięciem przynęty, którą podłożył mu pewien osobnik. Jego tożsamość musi na razie pozostać nie ujawniona. Określmy go literami E.S.N.

- Myślisz, że jesteś taki mądry, co? - rozłóścił się Chudy. Niestety jego życia było to, że swada opuszczała go zawsze w momencie, kiedy jej najbardziej potrzebował.

- Przypomina mi to, że mam coś dla ciebie. - Jupiter odłożył pudełko na stertę odpadów i przemierzył szybko odległość dzielącą go od biura składu. Wrócił z latarką, którą znaleźli z Pete'em w Czarnym Kanionie.

- Są tutaj inicjały E.S.N. Może oznaczają Skinnera Norrisa?

- Mogą też być skrótem słów Ekstremalnie Strachliwy i Nerwowy - zaśmiał się Pete. - Trenowałeś ostatnio biegi. Chudy?

- Dawaj mi to! - Norris wyrwał Jupiterowi latarkę z ręki, odwrócił się i wszedł do samochodu.

- Detektywi! - wycedził. - Też coś! Wszystkie dziewczyny w mieście pękają ze śmiechu.

Wycofał samochód i wyjechał pędem przez bramę.

- Domyślałem się, że wziął naszą kartę w bibliotece - odezwał się Bob. - Teraz wie o Trzech Detektywach.

- Chcemy, żeby wszyscy wiedzieli - powiedział Jupiter. - Dlatego jest tak ważne, by wygrać naszą pierwszą sprawę.

Obejrzał się. Wujek Tytus z Hansem i Konradem byli zajęci składaniem organów. Ciocia poszła do domu przygotować obiad.

- Nikt nie zwraca na nas chwilowo uwagi, jeśli się pospieszymy, zdążymy odbyć krótkie zebranie przed obiadem. Ruszył w stronę Tunelu Drugiego i wtedy to się stało. Zaabsorbowany swoim planem Jupiter nie patrzył pod nogi i nastąpił na kawałek rurki. Potoczyła się pod jego stopą i upadł ciężko. Bob i Pete zobaczyli, że zaciskał zęby, kiedy usiłował się podnieść.

- Skręciłem nogę w kostce - powiedział. Podciągnął nogawkę, żeby obejrzeć obolałe miejsce. Kostka zaczęła już puchnąć. - Obawiam się, że będę musiał pojechać do lekarza.

Rozdział 11

Ostrzeżenie Cyganki

Co za pech!

Dwa dni minęły, od kiedy Jupiter skręcił nogę w kostce i wujek Tytus musiał go zawieźć do szpitala. Tam przetrzymano go cały dzień. Zrobiono zdjęcia rentgenowskie, potem zanurzono mu nogę w jakiejś kąpieli i wreszcie wypuszczono. Doktor Alvarez powiedział, że wkrótce będzie mógł kuśtykać po domu. Nakazał nawet możliwie szybko ćwiczyć skręconą kostkę.

Na razie jednak Jupiter leżał w łóżku, z toną bandaży na nodze. A tam był pan Hitchcock, który w każdej chwili mógł znaleźć inny nawiedzany przez duchy dom. Zanościło się na to, że Trzej Detektywi będą musieli zwinąć interes, nim go w ogóle zaczęli rozkręcać.

Pete i Bob siedzieli zgnębieni na łóżku.

- Czy to boli? - zapytał Pete, gdy Jupe zmienił pozycję i zacisnął zęby.

- Nie więcej, niż sobie własnym gapiostwem zasłużyłem - odpowiedział Jupiter. - Zaczniemy wreszcie nasze zebranie. Pierwszy temat dyskusji to tajemniczy telefon, otrzymany po naszej wizycie w Zamku Grozy. Worthington uważał, że ktoś za nami wtedy jechał. Mógł to być Chudy Norris.

- Oczywiście. Wiedział, że interesujemy się Zamkiem Grozy - powiedział Bob.

- Chudy nie mógł do nas zatelefonować, tak zmieniając głos - sprzeciwiał się Pete. - On ma głos jak rzenie żrebaka, a ten w telefonie był niski i matowy.

- Zgadzam się - przytaknął Jupiter - ale to jedyna możliwość, jaka mi przychodzi do głowy.

Podciągnął nogę, skrzywił się nieco i dodał:

- Dopóki mi ktoś nie udowodni, że może być inaczej, nie uwierzę, że bezcielesny duch jest w stanie użyć telefonu.

- Słusznie - zgodził się Bob. - Co następnie? Tajemnicza osoba, która zepchnęła na was kamienie?

- Właśnie, co z tym facetem - zaperzył się Pete. - Chciałbym go dostać w swoje ręce.

- Na razie go pominiemy - zdecydował Jupiter. - Z pewnością nie był to Chudy Norris. Cały incydent może nie mieć żadnego związku z naszą sprawą. Lawinę mogło spowodować niechcący jakieś dziecko lub ktoś dorosły przechodzący akurat tamtędy.

- Jak na przypadek, celował całkiem nieźle - mruknął Pete.

- Dopóki nie wyłonią się inne fakty, nie będziemy się zajmować tym człowiekiem - powiedział Jupiter. - Zastanawiam się teraz nad tym, co powiedział pan Rex, kiedy zobaczył nas z Pete'em. Dlaczego kłamał, że ścinał suche poszycie, skoro było oczywiste, że to nieprawda? I dlaczego miał przygotowaną lemoniadę, jakby się spodziewał, że do niego przyjdziemy?

Żaden z nich nie znajdował odpowiedzi. Pete podrapał się w głowę.

- Jak to jest, że im dalej się posuwamy, tym więcej tajemnic?

W tym momencie do pokoju weszła zamaszycie ciocia Matylda.

- Chciałam wam już wcześniej o tym powiedzieć. Wczoraj rano, nim jeszcze wróciłeś ze szpitala, zdarzyła się dziwna rzecz. W tym całym zamieszaniu zapomniałam o niej.

- Dziwna rzecz? - zapytał Jupiter i wszyscy trzej nastavili uszu.

- Przyszła tu stara Cyganka. Sama nie wiem, czy powinnam powtarzać, co mówiła.

Stara Cyganka? Teraz ledwo mogli usiedzieć z ciekawości.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, ciociu, co mówiła.

- Ach, to i tak tylko nonsensy. No więc zapukała do drzwi drobniutka stara Cyganka i łamaną angielszczyzną powiedziała, że czytała o twoim wypadku. Jupiterze, i chce ciebie ostrzec.

Ostrzec!?! Stara Cyganka? Chłopcy patrzyli jeden na drugiego.

- No więc - ciągnęła pani Jones - zrozumiałam wreszcie, że czytała z kart i trzykrotnie karty powiedziały jej o tobie to samo. Masz unikać liter Z.G. albo osoby, która ma takie inicjały. Mówiła, że twój wypadek był przez Z.G. i będziesz ich miał więcej, jeśli nie będziesz tych liter czy osoby, czy co tam to jest, unikał. Roześmiałam się na to, powiedziałam, że Z.G. znaczy "zawsze gapa" i ona sobie poszła. Biedne stworzenie. Wyglądała tak staro i dziwnie, jakby nie miała wszystkich klepek w porządku.

Po tych słowach ciocia odeszła, zostawiając chłopców mocno poruszonych.

- Z.G., Zamek Grozy - głos Boba brzmiał głucho.

- To mógł być ktoś wynajęty przez Chudego - powiedział pobladły lekko Jupiter. - Chociaż Chudy nie ma na tyle wyobraźni. Przynieść zdechłego szczura to wszystko, na co go stać.

- Ktoś... - zaczął Pete - nie, coś nie chce, żebyśmy się zbliżali do Zamku Grozy. Najpierw dostaliśmy niesamowite ostrzeżenie przez telefon, teraz przysłano nam drugie przez cygańską wróżkę. Obawiam się, że pan Coś nie rzuca słów na wiatr.

- W takim razie proponuję głosowanie, czy posłuchamy ostrzeżenia i będziemy się trzymać z daleka od Zamku Grozy. Kto jest za, mówi "ja".

- Ja! - powiedział Bob.

- Ja! - krzyknął Pete. - To daje większość głosów.

Jupiter popatrzył na nich.

- Więc chcecie, żeby Chudy śmiał się ostatni? Bo odtąd nie będzie miał żadnych wątpliwości, że nie sprawdziliśmy się jako detektywi i tylko czeka, żeby to rozgłosić. Choćby dlatego powinniśmy szybko działać. W dodatku wszystkie te ostrzeżenia powodują, że nasza sprawa staje się jeszcze bardziej tajemnicza.

- O czym mówisz? - zapytał Pete.

- Nikt spośród tych, którzy dotąd zajmowali się Zamkiem Grozy, nie otrzymał żadnego ostrzeżenia. Jesteśmy pierwsi, którym powiedziano, żeby się trzymać z daleka. To pozwala przypuszczać, że musimy być bliżej rozwiązania tajemnicy zamku, niż nam się wydaje.

- Nawet jeśli masz rację, to co z tego? - upierał się Pete. - Jesteś unieruchomiony w łóżku. Póki nie wydobrejesz, nic nie możemy zrobić.

- Nie całkiem tak jest - powiedział Jupiter. - Zeszłej nocy nie mogłem zasnąć i zdecydowałem się przyjąć inny plan działania. Wy dwaj musicie zbadać Zamek Grozy beze mnie, a ja w tym czasie będę rozmyślał nad tajemnicami, które napotkaliśmy.

- Ja mam badać Zamek Grozy? - krzyknął Pete. - Mogę co najwyżej poczytać sobie o nim w bibliotece.

- Nie oczekuję, że się dużo dowiedzie - ciągnął Jupiter. - Mam jednak nadzieję, że doświadczycie uczucia niepokoju, które przechodzi w skrajne zdenerwowanie, a następnie w czystą grozę. A kiedy już ten stan osiągniecie, chcę, żebyście sprawdzili, jak dalece czujecie grozę.

- Jak dalece? - jęknął Pete. - Ostatnim razem czułem ją od stóp do głów. Od środka na zewnątrz. Jednym słowem, ogarnęła mnie w całości. Czego ty oczekujesz? Że moja prawa ręka będzie cała nerwowa, a lewa nie?

- Może źle się wyraziłem, myślałem o tym, jak daleko od Zamku Grozy to uczucie się utrzymuje - wyjaśnił Jupiter. - Kiedy już wyjdziecie z zamku, sprawdźcie, na jaki dystans musicie się od niego oddalić, żeby uczucie grozy was opuściło. To chcę wiedzieć.

- Zeszłym razem na trzydzieści kilometrów - powiedział Pete.

- Minęło, jak wróciłem do domu i wlałem do łóżka.

- Tym razem, kiedy poczujesz lęk, trwogę, grozę czy wrażenie nadciągającej zguby, chcę, żebyś opuścił zamek godnie, to jest powoli. Zatrzymuj się co pewien czas i sprawdzaj, czy te uczucia cię opuszczają.

- Powoli i z godnością - Pete zaśmiał się gorzko.

- Być może nie odczujecie w ogóle niczego - dodał Jupiter. - Chciałbym bowiem, żebyście poszli do zamku, póki jest jasno. Tym razem zbadajcie go za dnia. Jeśli chcecie, możecie zostać do wieczora zaraz za drzwiami wejściowymi i zobaczyć, czy tam również odczujecie trwogę.

- On chce, żebyśmy tylko stali za drzwiami - powiedział Pete do Boba.

Bob odetchnął z ulgą.

- Na mnie nie licz. Muszę jutro pracować w bibliotece. Pojutrze też.

- Teraz sobie przypomniałem, że też będę jutro i pojutrze zajęty - powiedział Pete. - Fatalnie, ale chyba nie damy rady pójść do zamku.

Jupiter skubał dolną wargę. W końcu skinął głową.

- W takim razie musimy zmienić plan.

- To właśnie staraliśmy się powiedzieć ci od początku - zauważył Pete.

- Do zmroku zostało parę godzin - powiedział Jupiter. - Zjecie kolację wcześniej i pojedziecie do Zamku Grozy jeszcze dzisiaj.

Rozdział 12

Niebieska Zjawa

- Niech to diabli - powiedział Pete. - Dlaczego, kiedy się spieramy, Jupe zawsze musi wygrać?

- Tak, tym razem znowu wygrał - zgodził się Bob.

Przed nimi, wsparty o ścianę kanionu, wznosił się Zamek Grozy. Jego wieże, wybite okna, ściany obrośnięte dzikim winem były wyraźnie widoczne w popołudniowym słońcu. Bob drżał trochę.

- Może powinniśmy już iść do środka? Do zachodu słońca zostały tylko dwie godziny. Nim się obejrzymy, zrobi się ciemno.

Pete popatrzył na zawaaloną kamieniami drogę. Za zakrętem czekał w samochodzie Worthington. Pomógł Bobowi pokonać najgorszy odcinek drogi i musiał wrócić pilnować rolls-royce'a, zgodnie z nakazem swojej agencji.

- Czy myślisz, że Chudy jechał znowu za nami? - zapytał.

- Nie. Patrzyłem przez tylną szybę. Zresztą Jupe jest pewien, że Chudy będzie teraz omijał Zamek Grozy z daleka.

- Tak, ale my musimy udowodnić, że mamy więcej odwagi. - Pete westchnął.

Bob był zaopatrzony w aparat fotograficzny, Pete w magnetofon i obaj mieli latarki zawieszane u pasków. Weszli po schodach do frontowych drzwi. Były zamknięte.

- Dziwne. - Pete ściągnął brwi. - Jestem pewien, że Chudy wybiegając z zamku nie zamknął za sobą drzwi.

- Może wiatr je zatrzęsnał.

Pete nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z przeciągłym i...i...i..., przyprawiając ich o dreszcze.

- To tylko zardzewiałe zawiasy - powiedział Bob. - Nie ma się co denerwować.

- A kto się denerwuje? - mruknął Pete.

Weszli do przedsionka, zostawiając drzwi otwarte. Po jednej jego stronie był duży pokój z ogromnym kominkiem, zastawiony rzeźbionymi krzesłami i stołami. Jupe powiedział, żeby się rozejrzeli i porobili zdjęcia. Bob nie widział nic specjalnego w tym pokoju, ale zrobił dwa zdjęcia przy użyciu lampy błyskowej. Przeszli do okrągłego holu, gdzie Jupe i Pete słyszeli echo.

Ze zbrojami w niszach i obrazami pana Terrilla w fantastycznych kostiumach miejsce

to było niesamowite i ponure. Ale rozpogadzała je odrobina słońca, wpadającego przez zakurzone okno na podeście schodów.

- Udawajmy, że jesteśmy w muzeum - powiedział Bob. - Wiesz, jak się człowiek czuje w muzeum. Nie ma w tym nic straszego.

- Racja - zgodził się Pete. - Tu zresztą wygląda jak w muzeum. Wszystko takie stare, zakurzone i martwe.

- Martwe... martwe... martwe... - usłyszeli.

- Coś takiego! - wykrzyknął Bob. - Echo!

- Echo... echo... echo... - odpowiedziały ściany.

Pete odciągnął Boba na bok.

- Słyszysz się echo tylko w jednym miejscu.

Bob lubił echo. Bawiło go, kiedy krzyczał "Halo!" i okrzyk wracał do niego z oddali. Ale tutaj jakoś nie miał ochoty na tę zabawę.

- Obejrzyjmy obrazy - zaproponował. - Który z nich wygląda według ciebie, jakby miał żywe oko?

- Ten tam - Pete wskazał obraz jednookiego pirata po drugiej stronie holu. - Chwilami to oko wygląda jak żywe, a potem znów jak namalowane.

- Możemy to zbadać. Stań na krześle i sprawdź. Pete przesunął pod obraz rzeźbione krzesło. Ale nawet kiedy stanął na nim na palcach, nie mógł sięgnąć do obrazu.

- Powyżej jest rodzaj krużganku - powiedział Bob. - Obrazy zwisają z niego na długich drutach. Wejdźmy tam, może uda nam się wciągnąć obraz na górę.

Pete schodził z krzesła, a Bob szedł już ku schodom. Nagle poczuł, że ktoś złapał pasek aparatu fotograficznego, który miał przewieszony przez ramię. Kątem oka zobaczył wysoką postać stojącą za nim w alkowie. Wrzasnął i rzucił się ku drzwiom.

Daleko jednak nie pobiegł. Pasek aparatu fotograficznego szarpnął go w tył, chłopiec stracił równowagę i upadł bokiem na marmurową posadzkę. Wtedy zobaczył jakiegoś kolosa, który leciał na niego gwałtownie. Był w zbroi i zamierzał się ogromnym mieczem prosto w kierunku jego głowy.

Bob wrzasnął ponownie i odsunął się w bok. Wielki miecz wyrznął w podłogę, dokładnie tam, gdzie przed sekundą Bob leżał. Człowiek w zbroi zwałił się za mieczem z trzaskiem, jaki wydaje baczka pełna puszek, kiedy się ją zrzuci z wysoka.

Do tego czasu pasek zdążył się zsunąć z ramienia Boba, więc chłopiec prześliznął się po podłodze pod ścianę. Obejrzał się, oczekując, że człowiek w zbroi znowu go zaatakuje. Ale to, co zobaczył, zjeżyło mu włosy na głowie.

Głowa jego prześladowcy odpadła i toczyła się po podłodze.

Po chwili dopiero Bob zobaczył, że zbroja jest w środku pusta. Kiedy runęła, hełm spadł i toczył się za Bobem. Wstał i otrzepał się z kurzu. Aparat fotograficzny leżał koło zbroi, pasek zaś wciąż był zaczepiony o metalowe okucia.

Bob podniósł aparat i sfotografował pokładającego się ze śmiechu Pete'a.

- Teraz mam zdjęcie Śmiejącego się Widma z Zamku Grozy. Jupe będzie miał zabawę.

- Przepraszam, Bob - Pete opanował się i otarł oczy. - Wyglądałeś naprawdę śmiesznie, ciągnąc za sobą tę zardzewiałą zbroję.

Bob przyjrzał się zbroi, która stała przedtem w niszy na małym podeście. Teraz oczywiście rozleciała się. Trochę zardzewiała, ale metal był wciąż w dobrym stanie. Bob sfotografował ją, potem portret jednookiego pirata i jeszcze parę obrazów.

- Jeśli już skończyłeś się śmiać - powiedział - to chodź coś zobaczyć. Tutaj są drzwi, których przedtem nie zauważyliśmy. Coś na nich napisano - zmrużył oczy, żeby odczytać napis wygrawerowany na małej, mosiężnej tabliczce: POKÓJ PROJEKCYJNY.

Pete stanął obok niego.

- Tato mi mówił, że w dawnych czasach wszystkie wielkie gwiazdy filmowe miały własne pokoje projekcyjne. Wyświetlali własne filmy przyjaciółom. Wejdzmy zobaczyć, jak to wygląda.

Bob musiał mocno pociągnąć drzwi. Otwierały się z oporem, jakby ktoś je przytrzymał od wewnątrz. Wreszcie rozwarły się i runęło na nich stęchłe, wilgotne powietrze. Było ciemno choć oko wykol.

Pete odpiął z paska latarkę. Silny snop światła rozjaśnił dużą salę z około setką obitych pluszem krzesel. Na drugim końcu sali widać było zarys organów piszczałkowych.

- Przypomina mi to stare kino - powiedział Pete. - Patrz na te organy. Na oko są większe od tych, które kupił pan Jones. Chodź, zobaczymy je z bliska.

Bob chciał zapalić swoją latarkę, ale nie działała. Musiał ją uszkodzić przy upadku. Na szczęście latarka Pete'a dawała wystarczająco dużo światła. Przeszli na drugą stronę sali i skierowali się w stronę organów.

Nie czuli teraz zdenerwowania. Komiczna przygoda Boba dodała im otuchy.

Stare organy sięgające aż po wysoki sufit pokoju były pokryte kurzem i osnute pajęczyną. Bob sfotografował je dla Jupe'a.

Rozglądali się po sali. Pluszowe siedzenia były przegniłe. W miejscu, w którym powinien być ekran, wisiały tylko białe pasy. Im dłużej tu przebywali, tym większa zdawała

im się panująca w pokoju wilgoć i stęchlizna.

- Nic tu nie ma - powiedział Pete. - Chodźmy na górę.

Opuścili pokój projekcyjny i poszli na schody, które biegły spiralnie pod jedną ścianą Holu Echa. Zatrzymali się na podeście w połowie schodów, gdzie przez zakurzone okno wpadało słoneczne światło, i wyjrzeli na dwór. Ściana zamku wznosiła się tuż przy stromym, skalistym zboczu Czarnego Kanionu.

- Wciąż mamy dwie godziny do zmroku - powiedział Bob. - Masę czasu, żeby się jeszcze rozejrzeć.

- Obejrzyjmy więc ten obraz pirata. Wciągniemy go na górę i sprawdzimy, czy jest w nim jakiś trik.

Wyszli na krużganek i stwierdzili, że wszystkie obrazy zawieszono są na drutach przymocowanych do belki poniżej. Chwycili we dwójkę drut i zaczęli ciągnąć. Obraz miał ciężką ramę, ale w końcu dźwignęli go na górę i oświetlili latarką.

Był to zwykły obraz olejny i farba wciąż nie straciła swego połysku. Bob sądził, że to ten połysk mógł dać Pete'owi złudzenie, że oko jest żywe. Pete nadal jednak nie był o tym przekonany.

- Wyglądało naprawdę jak żywe. Chyba się myliłem, odwieśmy obraz z powrotem.

Opuścili portret na miejsce i ruszyli po schodach w górę. Pokonywali jedno piętro za drugim, aż wreszcie znaleźli się w małej, okrągłej wieży, wysoko nad zamkiem. W ścianach znajdowały się wąskie okna jak w prawdziwym zamku, tyle że przeszklone. Wyjrzeli przez nie. Byli powyżej szczytu Czarnego Kanionu i widzieli wzgórze, które ciągnęły się kilometrami aż po horyzont.

- Patrz! - wykrzyknął Pete. - Antena telewizyjna.

Miał rację. Na szczycie najbliższego wzgórza stała antena. Założył ją zapewne ktoś, kto mieszkał w następnym kanionie i nie mógł na dole mieć dobrego odbioru.

- Następny kanion jest naprawdę blisko - zauważył Pete. - To wcale nie jest taka samotnia, jak się wydaje z dołu.

- W tych górach jest pełno kanionów, ale zobacz, jakie strome mają zbocza. Przejść przez nie mogą tylko górskie kozice. Człowiek musi obejść je dookoła.

- Masz rację. No, nic tu ciekawego. Zejdźmy na dół i zobaczmy, czy nie ma gdzieś czegoś, o czym Jupe chciałby wiedzieć.

Piętro niżej trafili na korytarz, w którym znaleźli otwarte drzwi. Zajrzeli przez nie. To musiała być biblioteka Stephena Terrilla. Setki książek zappełniały półki. Na ścianach wisiły obrazy podobne do znajdujących się w Holu Echa, tylko mniejsze.

- Obejrzyjmy to - zaproponował Pete.

Weszli do pokoju. Obrazy były bardzo interesujące. Przedstawiały Stephena Terrilla w scenach z jego filmów. Na każdym wyglądał inaczej. Na jednym był piratem, na innym rozbójnikiem, to znów wilkołakiem, podnoszącym się z grobu nieboszczykiem, wampirem, wreszcie potworem morskim. Bob żałował, że nie może zobaczyć tych filmów.

- Nazywali go "człowiekiem o tysiącu twarzy" - powiedział Pete, gdy obejrzeli obrazy. - Rany! Popatrz no tu!

Stali przed małą niszą, w której umieszczono sarkofag mumii. Prawdziwy egipski sarkofag, jak te, które widzi się w muzeach. Na wieku zobaczyli srebrną tabliczkę. Pete oświetlił ją latarką, a Bob odczytał wygrawerowany na niej napis:

- ZAWARTOŚĆ TEGO SARKOFAGU ZAPISAŁ JEJ WŁAŚCICIEL, HUGH WILSON, CZŁOWIEKOWI, KTÓRY DOSTARCZYŁ MU TAK DUŻO ROZRYWEK, PANU STEPHENOWI TERRILLOWI.

- Mój Boże! Jak myślisz, co jest w tym sarkofagu?

- Może mumia?

- Musi to być coś wartościowego. Zobaczmy.

Zaczęli podnosić wieko. Było bardzo ciężkie. Podnieśli je do połowy, gdy Pete wrzasnął i odskoczył. Wieko zamknęło się z trzaskiem.

- Widziałeś to? Bob przełknął ślinę.

- Widziałem. To ludzki szkielet.

- Milutki, biały, gładki szkielet, który szczyrzył do nas zęby w uśmiechu!

- Widocznie to zapisał Hugh Wilson Stephenowi Terrillovi za te wszystkie rozrywki. Własny szkielet. Otwórz jeszcze raz sarkofag, żebym mógł sfotografować szkielet dla Jupe'a.

Pete nie bardzo miał ochotę, ale Bob zapewnił go, że szkielet to tylko trochę kości, które nie mogą nikomu wyrządzić krzywdy. Znowu otworzyli wieko. Bob zrobił zdjęcie uśmiechniętemu szkieletowi. Był pewien, że zainteresuje to Jupe'a.

Następnie Bob zajął się przewijaniem filmu w aparacie, a Pete podszedł do okna. Okrzyk wyrwał mu się z ust, gdy przez nie wyjrzał.

- Pospieszmy się, robi się ciemno!

Bob spojrzął na zegarek.

- Niemożliwe. Mamy ponad godzinę do zachodu słońca.

- Może słońce tego nie wie. Sam zobacz.

Bob pokuśtykał do okna. Rzeczywiście. Robiło się ciemno. Słońce schowało się już za zbocze kanionu. Błyszczało wciąż na szybach, ponieważ pokój znajdował się powyżej

krawędzi wzgórza.

- Zapomniałem, że w kanionie ściemnia się wcześniej - powiedział Bob.

- Chodźmy! To jest miejsce, w którym wolałbym nie przebywać po zmierzchu.

Weszli do pokoju. Teraz zauważyli, że schody znajdowały się na obu końcach korytarza. Nie pamiętali, którymi tu przyszli, więc w końcu Pete wybrał bliższe.

Nim zeszli na niższe piętro, zrobiło się znacznie ciemniej. Co więcej, nie mogli znaleźć schodów prowadzących na parter. Dopiero za drzwiami, w końcu korytarza trafili na wąskie stopnie prowadzące w dół.

- To nie są schody, którymi weszliśmy na górę - powiedział Bob. - Może powinniśmy zawrócić.

- Wszystkie schody prowadzą w dół, a tam chcemy się dostać, i to jak najszybciej! Chodź!

Przeszli przez drzwi, które same zatrzasnęły się za nimi. Znaleźli się w kompletnych ciemnościach.

- Poszukajmy lepiej tamtych schodów - powiedział Bob z niepokojem. - Nie podoba mi się tutaj. Ciemno, że nawet ciebie nie widzę.

- Tobie się nie podoba i mnie się nie podoba. Wniosek przyjęto jednogłośnie. Wracamy! - Pete wyciągnął rękę. - Gdzie jesteś? Okay, nie rozłączajmy się. Idziemy do tyłu i otwieramy drzwi.

Klamka nie chciała ustąpić.

- Chyba jesteśmy tu zamknięci. - Bob starał się mówić spokojnie. - Będziemy musieli jednak zejść tymi schodami.

- Przydałoby się trochę światła. Gdyby tylko udało się znaleźć... hej, co jest ze mną?! Mam przecież latarkę, śliczną nową latarkę.

- No to zapal ją. Te ciemności zdają się na nas nacierać. I chyba jest coraz czarniej.

- Poprawka - głos Pete'a drżał lekko. - Miałem latarkę, ale jej nie mam. Pamiętasz, jak zamykaliśmy ten sarkofag? Musiałem ją przy nim zostawić.

- Wspaniale, po prostu cudownie! A moją rozwaliła ta zbroja.

- Może nią tylko wstrząsnęło. Czasem się zdarza.

Odpiął Bobowi latarkę od paska i zaczął uderzać w nią dłonią. Przez długą minutę nie reagowała, wreszcie się zapaliła. Nie dawała należytego światła, tylko słabą poświatę.

- Złe połączenie - powiedział Pete. - Pali się jak świeca. Ale zawsze to jakieś światło. Chodźmy!

Zeszli z krętych, wąskich schodów szybciej, niż Bob się spodziewał. Pete prowadził,

oświetlając drogę nikłym światłem latarki. Gdy schody się skończyły, chłopcy stwierdzili, że muszą się znajdować na parterze. Jak wynikało z oględzin w słabym świetle, byli w małym kwadratowym przedsionku z dwojgiem drzwi. Stali, zastanawiając się, które z nich wybrać, gdy Pete złapał Boba za ramię.

- Słyszysz to?

Bob natężył słuch.

Usłyszał! Muzyka organowa! Niewyraźne, dziwne tony. Ktoś grał na zdezelowanych organach w pokoju projekcyjnym! Nagle Bob odczuł krańcowe zdenerwowanie, o którym mówił Jupe.

- Dochodzi stamtąd - szepnął Pete, wskazując jedne z drzwi.

- Więc idziemy tamtymi...

- Nie, tymi. Tymi musimy dojść do pokoju projekcyjnego, a obok niego są drzwi wejściowe do budynku. Jeśli pójdziemy tamtymi, możemy się kompletnie zgubić. Wszystko lepsze od tego.

Pete otworzył drzwi i trzymając Boba za rękę, ruszył śmiało ciemnym korytarzem. W miarę jak zagłębiali się w korytarz, muzyka była coraz głośniejsza, ale wciąż słyhać ją było z oddalenia, niczym widmo muzyki, pełne zgrzytów i zawodzenia.

Bob szedł tylko dlatego, że Pete go ciągnął, ale im głośniejsza stawała się muzyka, tym silniejsze było jego zdenerwowanie. Wreszcie Pete pchnął jakieś drzwi i znaleźli się w pokoju projekcyjnym.

Poznali go, mimo iż latarka słabo oświetliła oparcia krzesel. Daleko, na drugim końcu sali, w pobliżu organów wznosiła się niebieska poświata. Wisiała w powietrzu, jakiś metr nad podłogą, zdawała się skrzyć. Zrujnowane organy nadal wydawały zgrzyty i skrzypienia.

- Niebieska Zjawa! - jęknął Bob.

W tym momencie jego krańcowe zdenerwowanie przerodziło się w czystą grozę, tak jak to przewidywał Jupe.

Obaj puścili się pędem przez pokój, tam gdzie, jak wiedzieli, powinny być drzwi. Pete pchnął je na oścież i wpadli z powrotem do Holu Echa. Stamtąd galopem do wciąż otwartych frontowych drzwi i przez nie na wyłożony płytami taras. Nie zatrzymując się, biegli dalej. Bob trochę powłóczył chorą nogą, w pewnym momencie zahaczył o szczerbę w płycie i stracił równowagę. Pete biegł tak szybko, że tego nie zauważył. Bob wywinął kozła i wylądował w kupie liści, nagromadzonych w rogu tarasu. Zagrzebał się w nie możliwie najgłębiej, jak mysz chowająca się do dziury.

Spodziewał się, że Niebieska Zjawa będzie go ścigać. Serce waliło mu niczym młot

pneumatyczny. Dyszał tak głośno, że zagłuszał wszystkie inne odgłosy. Zdał sobie z tego sprawę i opanował głośny oddech. W nagłej ciszy usłyszał stąpanie Niebieskiej Zjawy. Zbliżała się małymi, posuwistymi krokami. Jej oddech był ciężki, urywany, złowieszczy i przerażający.

Nagle kroki umilkły. Zjawa była tuż nad nim. Przez długą chwilę stała tylko, łapiąc z trudem oddech. Potem pochyliła się i złapała go za ramię. Bob wrzasnął tak, że po najbliższym stoku potoczyły się kamienie.

Rozdział 13

Znak Detektywów

- Więc Niebieska Zjawa złapała go za ramię, no i co się potem stało? - zapytał Jupiter.

Wreszcie po trzech dniach Trzej Detektywi zebrali się w swojej Kwaterze Głównej. Pete wyjeżdżał z rodzicami do krewnych w San Francisco. Bob pracował w bibliotece przy katalogowaniu wszystkich książek. Musiał zastąpić chorego pracownika i spędzał w bibliotece wszystkie popołudnia i wieczory. Jupiter zaś, unieruchomiony w łóżku, wiele czytał. Teraz wreszcie mogli się spotkać w zaciszu swojej siedziby.

- No, co się stało? - powtórzył Jupiter.

- To znaczy po tym, jak wrzasnąłem? - Bob wyraźnie zwlekał z udzieleniem odpowiedzi.

- Dokładnie po tym, jak wrzasnąłeś.

- Dlaczego nie zapytasz Pete'a? - zrobił unik Bob. - Był przy tym.

- Dobrze. Pete, ty mi powiedz, co się stało?

Pete był zakłopotany, ale usłuchał.

- Upadłem. Bob krzyknął tak przeraźliwie, kiedy go złapałem za ramię, że z przerażenia przewróciłem się na niego. Wtedy zaczął walczyć ze mną i wrzeszczeć: "Puść mnie, Niebieska Zjavo! Wracaj do zamku! Tam twoje miejsce!" Cały byłem posiniaczony, nim zdołałem go wreszcie przytrzymać i uprzytomnić mu, że to ja, że wróciłem po niego.

- Bob jest drobny, ale potrafi walczyć jak lew - zauważył Jupiter. - Więc spostrzegłeś, że za tobą nie biegnie, i wróciłeś go szukać. Usłyszał twoje kroki i zdyszany oddech i myślał, że to zjawa go napastuje. Tak?

Bob skinął głową. Czuł się bardzo głupio, kiedy wreszcie przestał wojować z Pete'em na tej stercie liści. Dobrą minutę był przekonany, że walczy z Niebieską Zjawą.

Jupiter ściągnął usta. Wyraźnie był z czegoś zadowolony.

- Kiedy przestaliście się w końcu mocować, coś odkryliście. A mianowicie, że uczucie skrajnej zgrozy znikło, prawda?

Pete i Bob popatrzyli na siebie. Jak Jupe to odgadł? Trzymali to odkrycie na koniec, jako niespodziankę.

- Prawda - powiedział Pete. - Przeszło zupełnie.

- A więc, odczucie nie rozciąga się poza mury Zamku Grozy. To bardzo znaczące odkrycie.

- Naprawdę? - zdziwił się Bob.

- Z całą pewnością - odparł Jupiter. - Fotografie już powinny być gotowe. Pete, możesz je przynieść z ciemni? Ja tymczasem zamknę wywietrznik. Wujek Tytus okropnie dziś hałasuje.

Istotnie, pan Jones złożył wreszcie swoje organy. Jupiter leżąc w łóżku przeczytał książkę o organach piszczałkowych i mógł udzielić wujkowi wielu pomocnych rad. Teraz pan Jones wygrywał "Uśpionego w głębinie", ulubioną melodię Hansa i Konrada. Wydobywał ją pełną mocą basów i dodawał wibrujący akompaniament.

Przez wywietrznik Kwatery Głównej chłopcy odbierali ten koncert w pełnym brzmieniu. Głębokie tony organów wprawiały wszystkie przedmioty w klekot. Bobowi zdawało się, że muzyka uniesie go zaraz z krzesła. Dygotał od stóp do głów.

Jupiter zamknął wywietrznik i hałas zmniejszył się o połowę. Pete wrócił z ciemni ze zdjęciami Boba z Zamku Grozy. Były wciąż mokre, ale można je już było obejrzeć.

Jupiter studiował fotografie przez szkło powiększające. Najwięcej czasu poświęcił zdjęciom z biblioteki pana Terrilla i zbroi, która zaatakowała Boba.

- Bardzo dobre zdjęcia. Bob - pochwalił. - Szkoda tylko, że nie sfotografowałeś Niebieskiej Zjawy przy organach.

- Czy naprawdę myślałeś, że podejdziesz blisko i będę fotografował niebieską, migocącą plamę, która gra na organach, na których w ogóle nie da się grać? - zapytał Bob z pewnym sarkazmem.

- Nikt by się nie zatrzymał w tym pokoju, żeby robić zdjęcia - powiedział Pete. Był wciąż naładowany skrajną grozą. - Nawet ty nie byłbyś w stanie, Jupe.

- Nie, przypuszczam, że nie - zgodził się Jupiter. - trudno zachować opanowanie, kiedy dławi cię strach. Niemniej jednak, taka fotografia bardzo by nam pomogła rozwiązać nasz problem.

Pete i Bob czekali. Jupe miał trzy dni w łóżku na rozważania i musiało mu przyjść do głowy wiele myśli, o których im dotąd nie powiedział.

- Widzicie - oświadczył wreszcie - wasza przygoda miała jeden niezwykle aspekt: Zjawy z Zamku Grozy ukazała się wam przed zachodem słońca.

- Wewnątrz było już po zachodzie słońca - wtrącił Pete. - Ciemno jak w bezgwiezdną noc.

- Ale na dworze słońce wciąż świeciło. Dotąd nikt nie donosił o jakichkolwiek zjawiskach przed zachodem słońca. No, zobaczymy, co inne zdjęcia mogą nam powiedzieć. - Jupiter wybrał fotografię zbroi. - Ta zbroja się błyszczy, nie wygląda na zardzewiałą.

- Tak - przyznał Bob. - Rdza była tylko w niektórych miejscach.

- A tu, w bibliotece pana Terrilla, książki i obrazy nie sprawiają wrażenia bardzo zakurzonych.

- Tylko trochę. Nie były kompletnie pokryte kurzem - powiedział Pete.

- Hm - Jupiter wziął zdjęcie szkieletu w sarkofagu. - Bardzo niezwykły spadek.

W tym momencie wstrząsnęło całą przyczepą kempingową. Ze sterty na zewnątrz obsunęło się jakieś żelastwo i zastukało o ścianę przyczepy. Wyjątkowo głośny brzęk organów poderwał chłopców na nogi.

- O rany! - wykrzyknął Pete. - Myślałem, że to trzęsienie ziemi!

- Wujek Tytus nie docenia własnej siły, wałąc w klawisze - skomentował Jupiter. - Jeżeli zamierza dalej tak grać, możemy z powodzeniem skończyć nasze zebranie. Ale nim wyjdziemy, mam coś dla was.

Wręczył każdemu z nich duży kawałek kredy. Wyglądała jak kreda używana w szkole, z tym że Pete'a była niebieska, a Boba zielona.

- Po co to? - zapytał Pete.

- Na oznaczanie szlaku znakiem Trzech Detektywów. - Jupiter wziął białą kredę i napisał na ścianie duży znak zapytania. - To oznacza, że był tu jeden z Trzech Detektywów. Kolor biały wskazuje Pierwszego Detektywa, niebieski Drugiego, czyli Pete'a, a zielony Boba. Gdybym pomyślał o tym wcześniej, nie pogubilibyście się w Zamku Grozy. Zaznaczylibyście drogę, po której szliście, i wrócilibyście po znakach.

- Aha, masz rację - przyznał Pete.

- Zwróćcie uwagę na prostotę tego rozwiązania - ciągnął Jupiter. - Znak zapytania jest najpospolitszym znakiem. Jeśli ktoś zobaczy go na ścianie albo na drzwiach, pomyśli, że to jakieś dzieci się bawiły, i pójdzie dalej. Ale dla nas będzie on pełną informacją. Możemy go używać do oznaczania drogi, wskazania miejsca czyjś ukrycia lub dla zidentyfikowania domu kogoś podejrzanego. Odtąd nigdy nie wychodźcie z domu bez kredy.

Przyrzekli nosić kredę zawsze przy sobie i Jupiter przystąpił do najistotniejszej sprawy.

- Telefonowałem do biura pana Hitchcocka. Henrietta powiedziała, że pan Hitchcock ma jutro rano zebranie, na którym zdecyduje, czy będzie kręcić film w Anglii, w tamtejszym zamku. Ta wiadomość oznacza, że do rana musimy dostarczyć nasze sprawozdanie. Co znaczy...

- Nie! - krzyknął Pete. - Nie pójdę tam! Dla mnie Zamek Grozy jest nawiedzany i kropka. Nie potrzebuję na to więcej dowodów!

- Kiedy leżałem w łóżku i rozmyślałem - kontynuował Jupiter, jakby Pete się w ogóle nie odezwał - doszedłem do pewnych wniosków, które wymagają sprawdzenia. Trzeba działać szybko, żeby zdążyć na czas do pana Hitchcocka. Dlatego też musicie obaj uzyskać zezwolenie na późniejszy powrót do domu. Dziś wieczorem przypuszczamy ostateczny atak na tajemnicę Zamku Grozy!

Rozdział 14

Duch i lustro

Jupiter i Pete patrzyli na majaczący w ciemnościach Zamek Grozy. Nie było księżycy i tylko kilka gwiazd oświetlało czarny jak heban kanion.

- Już nie będzie ciemniej - powiedział Jupiter przyciszonym głosem. - Możemy wejść do środka.

Pete ważył w dłoni nowo zakupioną, ekstrasilną latarkę. Stara wciąż leżała w bibliotece zamku.

Weszli po obtłuczonych schodach i przecięli wyłożony płytami taras. Jupiter lekko kulał, starając się nie zginać obandażowanej mocno kostki. W ciemnościach ich kroki dźwięczały bardzo głośno. Jakieś zwierzątko, wypłoszone ze swej kryjówki, przebiegło przez snop światła latarek.

- Mądre stworzenie - powiedział Pete. - Ucieka stąd.

Jupiter nie odpowiedział. Trzymał już rękę na klamce drzwi wejściowych i potrząsał nią. Nie chciała ustąpić.

- Chodź pomóc, drzwi się zacięły.

Pete uchwycił wraz z nim wielką, mosiężną klamkę. Nagle coś puściło w zamku. Klamka została im w rękach, zatoczyli się w tył i upadli jeden na drugiego.

- Uff - sapnął Pete. - Przygniatasz mi brzuch. Nie mogę się ruszyć! Nie mogę oddychać! Złaż prędko!

Jupiter przetoczył się w bok i podniósł na nogi. Pete wstał i zaczął się obmacywać, sprawdzając, czy wszystko ma w całości i na miejscu.

- Chyba wszystko jest wciąż tam, gdzie trzeba. Poza zdrowym rozsądkiem. Zostawiłem go w domu.

Jupiter oglądał klamkę przy świetle latarki.

- Patrz - powiedział. - Obluzowała się śruba, która trzyma klamkę na trzonie przechodzącym przez zamek.

- Mnóstwo ludzi kręciło się tu w czasie ostatnich dwóch tygodni. Może śruba się wytarła.

- Hmm - okrążyła twarz Jupe'a ściągająca się w wyrazie skupienia. - Ciekawe, czy ktoś jej celowo nie obluzował?

- Kto by robił takie rzeczy? Było nie było, wejść się nie da, więc możemy z

powodzeniem iść do domu.

- Jestem pewien, że znajdzie się inne wejście. Na przykład przez te okna tarasowe.

Jupiter posuwał się wzdłuż frontowej ściany budynku. Z sześciu okien pięć okazało się szczelnie zamkniętych, jedno natomiast było lekko uchylone. Jupiter pchnął je, otworzyło się z łatwością. Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

Światło latarki rozproszyło ją tylko częściowo, ukazując długi stół z ustawionymi wokół krzesłami. Na jego końcu najwyraźniej stały naczynia.

- Jadalnia - ściszym głosem powiedział Jupiter. - Możemy tędy wejść.

Oświetlając pokój latarkami, chłopcy dostrzegli w środku misternie rzeźbione krzesła, mahoniowy stół i ozdobny kredens. Ściany jadalni wyłożone były drewnianymi kasetonami.

- Wygląda na to, że jest tutaj więcej drzwi - zauważył Jupiter. - Zastanawiam się, którymi powinniśmy pójść?

- Jeśli o mnie chodzi... Ugh! - Pete wydał z siebie zduszony okrzyk, kiedy odwracając się nieznacznie, ujrzał wpatrzoną w nich kobietę w powłóczystej szacie. Suknia ta przypominała stroje, jakie chłopiec widział na siedemnastowiecznych obrazach. Zjawa miała na szyi sznur, którego koniec zwisał swobodnie u jej stóp. Rąk nie było widać, gdyż skrywały je fałdziste rękawy sukni. Oczy kobiety przepelnione były głębokim smutkiem.

Pete podskoczył do Jupe'a i szarpnął jego kurtkę.

- O co chodzi? - spytał Jupe.

- N...nie jesteśmy s...sami - wyjąkał Pete. - Widzę tu kogoś.

Jupiter odwrócił się i Pete poczuł, jak przyjaciel sztywnieje. A więc zobaczył ją także. Kobieta nie poruszała się, nie oddychała, tylko patrzyła na nich. Pete wiedział doskonale, kim jest. To był duch dziewczyny, o której mówił pan Rex. Tej, która wolała się powiesić, niż wyjść za mąż zgodnie z wolą ojca.

Przez chwilę chłopcy nie mogli się ruszyć. Zjawa ani nie wykonała żadnego gestu, ani nie przemówiła.

- Oświetlimy ją latarkami - szepnął Jupiter. - Jak powiem "już"... Już!

Równocześnie skierowali snop światła na kobietę. Zniknęła tak cicho, jak się pojawiła. W miejscu, gdzie stała, nie było nic prócz lustra na ścianie, które odbijało im teraz w oczy światło latarek.

- Lustro! - wykrzyknął Pete. - Musi więc stać za nami! Okręcił się na pięcie i światło jego latarki zatańczyło wokół wraz z nim. Nie zobaczył jednak nikogo. Pokój był pusty.

- Poszła sobie! Zaraz zrobię to samo. To duch!

- Czekaj! - Jupiter złapał go za rękę. - Wygląda na to, że zobaczyliśmy widmowe

odbicie w lustrze, ale mogliśmy się pomylić. Żałuję, że działaliśmy tak pochopnie. Trzeba było poświęcić więcej czasu na zbadanie tego niezwykłego zjawiska.

- Więcej czasu? No, dobra, dlaczego jej nie sfotografowałeś? Masz przecież aparat.

- Słusznie - powiedział Jupiter z żalem. - Zapomniałem o nim.

- Zdjęcie i tak by nie wyszło. Nie da się sfotografować ducha.

- Z tych samych powodów duch nie może się odbijać w lustrze. A ten albo mógł, albo znajdował się w lustrze. Nigdy nie słyszałem o duchu w lustrze. Chciałbym, żeby się znowu pojawił.

- Może ty chcesz, ale ja nie mam na to ochoty. No, dobra, udowodniliśmy już, że w zamku są duchy. Teraz możemy to powiedzieć panu Hitchcockowi.

- Ledwie sprawę napoczęliśmy. Jeszcze bardzo dużo trzeba się dowiedzieć. Idziemy dalej. Następnym razem nie zapomnę o zrobieniu zdjęcia. Bardzo mi zależy na sfotografowaniu Niebieskiej Zjawy przy organach.

Opanowanie Jupe'a przywróciło Pete'owi spokój. Wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie. Ale może byś oznaczył naszą drogę?

Jupiter aż krzyknął, zły na siebie:

- Masz zupełną słuszność. Zaraz naprawię to przeoczenie. Podeszedł do okna, przez które weszli, i narysował na nim wielki znak zapytania. To samo na stole, ale delikatnie, żeby nie uszkodzić blatu. Potem podeszedł do lustra, żeby i je oznaczyć symbolem detektywów.

- Gdyby Worthington i Bob przyszli za nami, zwróci to ich uwagę - mówił, przyciskając mocno kredę do śliskiej powierzchni lustra.

- Chcesz powiedzieć, że nas już tu wtedy nie będzie?

Jupiter nie odpowiedział.

Pod naciskiem jego ręki lustro odchyliło się jak drzwi. Za nim otwierał się ciemny korytarz wiodący w głąb Zamku Grozy.

Rozdział 15

Mgła Strachu

Chłopcy spoglądali na siebie ze zdumieniem.

- Patrzcie, państwo, sekretne przejście! - wykrzyknął Pete.

- Ukryte za lustrem - Jupiter ściągnął brwi. - Musimy je zbadać.

Nim Pete zdążył powiedzieć słowo, Jupiter przeszedł przez otwór i oświetlił latarką długi pasaż. Wyglądał jak zwykły korytarz. Ściany były z niewygładzonego kamienia i nie było w nich drzwi, oprócz jednych, na samym końcu.

- Chodź. Musimy się dowiedzieć, dokąd prowadzi.

Pete przyłączył się do niego niechętnie. Nie chciał tam wchodzić, ale z drugiej strony nie miał też ochoty zostawać w pokoju. Już lepiej było iść dalej w towarzystwie.

Jupiter oglądał uważnie kamienne ściany. Zawrócił i zaczął przyglądać się lustru-drzwiom. Były to zwykłe drzwi z lustrem z jednej strony. Nie miały żadnego zamka ani klamki.

- Ciekawe - mrucał do siebie. - Musi być jakiś tajemny sposób otwierania tych drzwi.

Przymknął skrzydło drzwi. Rozległo się twarde szczęknięcie i zostali odcięci w wąskim korytarzu.

- No i co zrobiłeś! - krzyknął Pete. - Zamknąłeś nas tutaj!

- Hmm - Jupiter szukał czegoś, o co mógłby zahaczyć palce i pociągnąć drzwi. Ale nie znalazł niczego. Powierzchnia była idealnie gładka, a drzwi tak wpasowane w futrynę, że nie było nawet szpary na wetknięcie paznokcia.

- Z pewnością musi być jakiś tajemny sposób otwierania tych drzwi. Ciekawe, dlaczego otworzyły się tak łatwo, kiedy je nacisnąłem?

- Nieważne - powiedział Pete. - Ważne jest, jak je teraz otworzyć. Chcę stąd wyjść.

- Jestem pewien, że w razie potrzeby łatwo da się przebić to drewno i rozbić lustro za nim. Ale to nie będzie konieczne. Idziemy w przeciwnym kierunku.

Pete chciał właśnie powiedzieć, że opinie w tym względzie są podzielone, ale Jupe szedł już w głąb korytarza, opukując ściany zwiniętą dłonią.

- Masywne - zauważył. - Odgłos, jaki wydają, sugeruje jednak, że za nimi jest pustka. Posłuchaj.

Postukał w ścianę. Pete słuchał i istotnie usłyszał, ale coś zgoła innego.

Odległe dźwięki organów. Niesamowite, zawodzące tony zdawały się dobiegać ze

wszystkich stron jednocześnie i wypełzać na korytarz.

- Ty, posłuchaj tego! Niebieska Zjawa znowu gra!

- Słyszę - Jupiter przyłożył ucho do ściany i stał tak długą chwilę. - Muzyka zdaje się dochodzić przez tę ścianę. Jesteśmy prawdopodobnie za organami w pokoju projekcyjnym.

- Chcesz powiedzieć, że za tą ścianą jest Niebieska Zjawa?

- Mam nadzieję. W końcu cała dzisiejsza wyprawa była po to, żeby spotkać Niebieską Zjawę i zrobić jej zdjęcie. A także, jeśli to będzie możliwe, przeprowadzić z nią wywiad.

- Wywiad? - Pete jęknął. - Czy chcesz powiedzieć, że będziemy z nią rozmawiać?

- Jeśli ją złapiemy.

- Przypuśćmy, że to ona nas złapie. Trochę mnie to niepokoi.

- Muszę ci powtórzyć - powiedział Jupiter dość ostro - że według wszystkich dostępnych doniesień, Niebieska Zjawa nie wyrządziła nigdy nikomu krzywdy. Na tym opieram całą moją strategię. Kiedy byłem unieruchomiony w łóżku, doszedłem do pewnych wniosków. Dopóki nie zostaną potwierdzone, trzymam je dla siebie. Myślę, że wkrótce się dowiemy, czy są słuszne.

- Ale przypuśćmy, że nie są. Jeśli się mylisz i Niebieska Zjawa zechce włączyć nas w swoją bandę straszycieli, co wtedy?

- Wtedy przyznam, że nie miałem racji. Ale jedno mogę ci już powiedzieć z całą pewnością. Za kilka chwil doznamy uczucia skrajnej grozy.

- Za kilka chwil?! A jak myślisz, co ja już teraz czuję?

- Zaledwie silne zdenerwowanie. Skrajna groza nadejdzie niebawem.

- Wobec tego niebawem stąd wychodzę. Chodźże, rozwalmy to lustro i zabierzmy się stąd.

- Czekaj! - Jupiter złapał go za przegub dłoni. - Przypominam ci, że strach i groza to tylko odczucia. Będziesz przerażony, ale zapewniam cię, że nic ci się nie stanie.

Szukając argumentów, Pete zdał sobie nagle sprawę z dziwnej zmiany, jaka tymczasem nastąpiła. Zajęci nasłuchiowaniem organów nie zauważyli zagadkowych wstęg mgły wypełniających korytarz. Ciągnęły się wszędzie - wzdłuż podłogi, ścian i sufitu.

Pete wodził latarką to w górę, to w dół. W jej silnym świetle wstęgi mgły kłębiły się wolno, łącząc się w dziwne, falujące zwoje i koła. Na ich oczach w powietrzu zaczęły się formować niesamowite kształty.

- Patrz! - Pete'owi głos się załamywał. - Widzę twarze! A tam jest smok... i tygrys... i gruby pirat...

- Spokojnie! Ja również widzę te zjawy, ale jest to tylko produkt naszej wyobraźni. To

tak jakbyś leżał na łące i patrzył na obłoki. Oczy zmieniają je w rozmaite kształty. Mgła jest absolutnie nieszkodliwa. Ale sądzę, że zaraz odczujemy skrajną grozę.

Ujął mocno rękę Pete'a, który zacisnął palce wokół jego dłoni. Jupe miał rację. Pete czuł, jak szpony grozy przenikają całe jego ciało. Zdawało mu się, że skóra cierpienie mu straszliwie od stóp do głów. Tylko świadomość, że Jupe musi odczuwać to samo, a jednak stoi nieporuszony jak skała, powstrzymywała go od rzucenia się do blokującego korytarz lustra i walenia w nie co sił.

Tymczasem mgła gęstniała, zwijając się i skręcając w fantastyczne obrazy.

- Mgła Strachu - powiedział Jupiter i, choć głos mu drżał, ruszył zdecydowanym krokiem do przodu. - Doniesiono o niej tylko raz, wiele lat temu. Ostateczne zjawisko objawiające się w Zamku Grozy. Teraz postarajmy się stąd wydostać i przyłapać Niebieską Zjawę, póki myśli, że jesteśmy sparaliżowani strachem.

- Ja nie mogę - wykrztusił Pete przez zaciśnięte zęby. - Ja jestem sparaliżowany strachem. Nie mogę ruszyć nóg.

Jupiter zatrzymał się.

- Przyszedł więc czas, Pete, żebym ci powiedział, co wydedukowałem leżąc w łóżku. Otóż, wydedukowałem, że Zamek Grozy jest naprawdę nawiedzany...

- To ci mówiłem od początku! - przerwał mu Pete.

- ...naprawdę nawiedzany, ale nie przez duchy. Straszy w nim człowiek, który jest jak najbardziej żywy. Mówiąc konkretnie, upiorem Zamku Grozy jest, według mojej dedukcji, pan Stephen Terrill, zmarły gwiazdor filmowy we własnej osobie.

- Co? - Pete był tak zdumiony, że zapomniał o uczuciu grozy. - Chcesz powiedzieć, że wcale się nie zabił i żył tutaj przez te wszystkie lata?

- Tak jest. Żywy duch. Odstrasza ludzi od swojego zamku, żeby go nie stracić.

- Ale jak to możliwe? Przecież obaj sprawdziliśmy, że nie ma żadnych śladów, żeby ktoś wchodził lub wychodził z zamku. Skąd on bierze jedzenie i wszystko inne?

- Nie wiem. O to między innymi chcę go zapytać. Chyba rozumiesz teraz, że straszy nas tylko po to, żeby trzymać nas z dala od zamku. Naprawdę nikomu nie chce wyrządzić krzywdy. Czujesz się teraz lepiej?

- No pewnie, ale moje nogi wciąż chcą stąd sobie pójść.

- Więc skończmy szybko naszą sprawę, demaskując ducha. Poszedł do drzwi na końcu korytarza, a Pete odkrył, że dotrzymuje mu kroku. Po wyjaśnieniach Jupe'a cała sprawa nabrała sensu. Stephen Terrill, mistrz grozy, żył przez lata w swoim domu i odstraszał od niego ludzi!

Ku ich zdziwieniu drzwi na końcu pasażu otworzyły się z łatwością. Za nimi znowu panowały zupełne ciemności. Niesamowita muzyka była coraz głośniejsza i sądząc z pogłosu, jaki dawała, znajdowali się teraz w dużo większym pomieszczeniu.

- Pokój projekcyjny - szepnął Jupiter. - Nie zapalaj latarki. Musimy tę zjawę zaskoczyć.

Trzymając się blisko siebie, szli po omacku wzdłuż ściany. Skręcali właśnie, gdy Pete omal nie wrzasnął. Coś miękkiego i śliskiego owinęło mu się wokół twarzy i głowy. Była to tylko oderwana aksamitna draperia. Pete wyplątał się z niej nie robiąc hałasu.

Za rogiem, w połowie wysokości pokoju, zobaczyli plamę niebieskiego, migotliwego światła. Unosiła się nad miejscem, gdzie stały organy. Zatrzymali się. Pete słyszał, jak jego towarzysz szykuje lampę błyskową.

- Podkradniemy się do niego i zrobimy mu zdjęcie - szepnął Jupiter.

Pete patrzył na migocącą plamę i nagle zrobiło mu się żal pana Terrilla. Jakim szokiem będzie dla niego, kiedy go zdemaskują po tylu latach spędzonych samotnie w zamku.

- Możemy go wystraszyć - szepnął. - Czy nie lepiej go zawołać i dać mu czas na zrozumienie, że tu jesteśmy i nie mamy złych zamiarów?

- Bardzo słusznie. Podejźmy do niego powoli, a ja będę go wołał.

Szli ku plamie światła i niesamowitej muzyce.

- Panie Terrill! - zawołał Jupiter. - Chcemy z panem porozmawiać! Jesteśmy przyjaciółmi!

Nic się nie zmieniło. Muzyka nadal skrzypiała i zawodziła, a niebieska plama połyskiwała. Zbliżyli się o jeszcze parę kroków i Jupiter znowu spróbował.

- Panie Terrill, jestem Jupiter Jones. Ze mną jest Pete Crenshaw. Chcemy z panem tylko porozmawiać.

W tym momencie muzyka urwała się nagle. Migotliwa, niebieska plama drgnęła, uniosła się w górę i zawisła pod sufitem.

Jupiter i Pete stali zagapieni w widmowego organistę, który nieoczekiwanie odleciał. Nagle uświadomili sobie, że ktoś stoi koło nich w ciemnościach. Jupiter wciąż ściskając w rękach aparat fotograficzny, oniemiał zaskoczony. Pete był na tyle przytomny, by włączyć latarkę. Snop światła ukazał dwóch mężczyzn. Jeden był średniego wzrostu, drugi bardzo niski. Obaj nosili fałdziste burnusy arabskie. Wyrzucili w górę coś białego.

Wielka siatka opadła Pete'owi na głowę. Wytrąciła mu z rąk latarkę gasząc ją i owinęła go od stóp do głów.

Próbował uciekać. Noga zaplątała mu się w oczkach siatki i runął na wyłożoną

dywanem podłogę. Zaczął się turlać po niej, walcząc desperacko z siatką, ale był uwikłany jak ryba w sieci. Im bardziej się szamotał, tym ciaśniej zaciskały się wokół niego oczka siatki.

- Jupe! - wrzasnął. - Ratu!

Jupiter nie odpowiadał. Pete turlając się i wykręcając szyję, zobaczył dlaczego.

Dwaj mężczyźni dźwignęli jego pulchnego towarzysza, również owiniętego siatką, jak worek kartofli. Przyświecając sobie małą latarką, taszczyli go za ręce i nogi. Ciężar Jupe'a wyraźnie sprawiał im trudności. Ale przenieśli go przez pokój i znikli za drzwiami.

Pete leżał na podłodze, niezdolny do żadnego ruchu, patrzył na plamkę światła migoczącą pod sufitem. Zdawała się pulsować - malała i rosła, zupełnie jakby Niebieska Zjawa śmiała się z niego.

Rozdział 16

Uwięzieni w lochach

Niebieska Zjawa zbladła i rozwiała się. Ciemność okryła Pete'a jak koc. Jeszcze raz podjął próbę uwolnienia się, ale siatka zaplątywała się tylko ciaśniej wokół niego.

Ale bigos! - myślał ponuro. Zamiast przyłapać nieszkodliwego staruszka na udawaniu ducha, sami zostali przyłapani. Dwaj osobnicy, którzy złowili ich w siatkę, wyglądali na zdecydowanych na wszystko. I najwidoczniej byli przygotowani, że chłopcy wpadną im w sidła.

Pomyślał o Bobie i Worthingtonie, którzy czekali na nich na drodze. Czy zobaczy ich jeszcze kiedyś? A mamę i tatę?

Pete poczuł się nieszczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Wtem zobaczył tańczące światełko, które się do niego zbliżało. Po chwili zorientował się, że jest to latarnia w ręku wysokiego mężczyzny. Ten z kolei nosił długą, jedwabną szatę azjatyckiego dostojnika.

Podszedł do Pete'a, pochylił się nad nim i oświetlił mu twarz. Pete dostrzegł jego okrutne, skośne oczy i usta pełne złotych zębów.

- Małe głupty - przemówił. - Dlaczego nie mieliście dość rozsądku, żeby odejść i nie wracać, jak inni? Teraz musimy się rozprawić z wami.

Z przykrym klaśnięciem przejechał palcem po gardle. Pete zrozumiał ten gest i krew zastęła mu w żyłach.

- Kim... jesteście - zapytał, zacinając się. - Co zamierzacie z nami zrobić?

- Ha! Wtrącić do głębokich lochów! - Podniósł Pete'a jak worek, przerzucił przez ramię i ruszył tam, skąd przyszedł.

Zwisając z ramienia mężczyzny, Pete niewiele mógł dojrzeć w niemal zupełnych ciemnościach. Wiedział, że przeszli przez drzwi do jakiegoś pasażu, a potem w dół po bardzo długich, krętych schodach. Potem był korytarz, zimny i wilgotny, znowu jakieś drzwi i wreszcie mały jak cela pokój. Cela w lochach. Do ściany przymocowano zardzewiałe, żelazne obręcze.

W kącie leżało coś białego, co wyglądało jak duży kokon. Obok siedział mały Arab i ostrzył długi nóż.

- Gdzie jest Abdul? - zapytał Azjata. Zrzucił Pete'a na kamienną podłogę obok kokonu, który okazał się omotanym siatką Jupe'em.

- Poszedł po Zeldę - odpowiedział mały Arab głębokim, gardłowym głosem. -

Chowają perły z Cyganką Kate. Będziemy głosować, co zrobimy z tymi szczeniakami tutaj.

- Ja bym po prostu zamknął ich w tym przytulnym pokoju i zostawił. Nikt ich tu nigdy nie znajdzie i niedługo w tym starym zamku zacznie naprawdę straszyć.

- Niezły pomysł - zgodził się Arab. - Dla pewności jednak upuściłbym im najpierw trochę krwi.

Przeciągnął ostrzem noża po kciuku, na co Pete przełknął głośno ślinę. Chciał coś szepnąć do swego pulchnego partnera, ale Jupe leżał tak nieruchomo, że Pete wystraszył się, że jest nieprzytomny.

- Pójdę zobaczyć, co z Zeldą. - Arab schował nóż do pochwy i wstał. Rzucił okiem na dwa tobołki na podłodze. - Chodź ze mną. Pomożesz mi zatrzeć ślady. Te rybki nie wymkną się szybko z sieci.

- Masz rację. Trzeba się spieszyć. - Wysoki Azjata powiesił latarnię na ścianie, w miejscu, z którego oświetlała dobrze chłopców, i wyszedł spieszenie wraz z towarzyszem.

Pete słuchał, jak ich kroki cichną powoli na korytarzu. Potem rozległ się łomot, jakby ktoś toczył ciężki kamień. Wreszcie zaległa cisza, gdy wtem... Jupiter się odezwał!

- Pete, wszystko w porządku z tobą?

- Zależy, co masz na myśli. Jeśli ci chodzi o moje kości, to jestem cały, śliczny i apetyczny.

- Cieszę się, że nie odniosłeś obrażeń - w głosie Jupe'a dało się słyszeć wielkie przygnębienie. - Muszę cię przeprosić za wystawienie cię na nieoczekiwane niebezpieczeństwo. Byłem zbyt pewien słuszności mojej dedukcji.

- Och, każdemu może się to zdarzyć. Twoja dedukcja wydawała się bardzo logiczna. Kto mógł przewidzieć, że natkniemy się tu na jakąś bandę? Zwłaszcza że nie znaleźliśmy najmniejszego śladu, żeby się tu ktoś melinował.

- Tak, i byłem tak pewien, że pan Terrill stoi za tym wszystkim, że w ogóle nie przyszła mi do głowy inna możliwość. Słuchaj, czy możesz ruszać rękami?

- Mogę zgiąć mały palec, jeśli to się do czegoś przyda. Jestem kompletnie unieruchomiony przez te siatki.

- Ja mam na szczęście wolną prawą rękę. Staram się wyplątać i robię w tym pewne postępy. Może mógłbyś mi pomóc, gdybyś mi powiedział, gdzie mam ciąć dalej.

Pete przekręcił się na bok w stronę swego towarzysza. Jupiter zrobił to samo, odwracając się do kolegi plecami. Dopiero teraz Pete zobaczył, że Jupe zdołał jakoś się dostać do cennego scyzoryka z ośmioma ostrzami, śrubokrętem i nożyczkami. Malutkie nożyczki były otwarte i Jupiter przeciął już kilka oczek siatki.

- Tnij po twojej lewej - szepnął Pete. - Uwolnisz sobie lewą rękę... o tak.

Noszycki były małe, a nylon siatki gruby, ale dzięki wskazówkom Pete'a, Jupiter wkrótce uwolnił sobie obie ręce. Teraz mógł działać dużo szybciej. Zaczął odcinać całą dolną część siatki, gdy usłyszeli kroki.

Przez chwilę byli zbyt przerażeni, żeby się ruszyć. Potem Jupiter oprzytomniał i przetoczył się na plecy, żeby ukryć pociętą siatkę. Czekali z bijącymi sercami.

Po chwili do celi weszła starucha z elektryczną latarnią, którą trzymała wysoko nad głową. Nosila cygańskie łańchy, a w uszach miała wielkie, złote kolczyki.

- Jak tam, moi śliczni? - zagadkała. - Odpoczywacie sobie miło i wygodnie? Nie posłuchaliście ostrzeżenia, a dobra Cyganka Kate zadała sobie tyle trudu, żeby je wam przekazać. No i patrzcie, na co wam przyszło. Trzeba zawsze słuchać ostrzeżeń Cyganki. Wyjdzie wam to tylko na dobre.

Pewna sztywność ich pozycji musiała zwrócić jej uwagę, bo podeszła szybko.

- Sztuczki, moi śliczni, sztuczki? - zarechotała i zreźnie przewinęła Jupitera na brzuch. - Aha! Kurczaki chcą uciec.

Złapała Juve'a za nadgarstek i wykręciła mu rękę. Scyzoryk wypadł na podłogę, skąd go podniosła.

- Teraz damy wam nauczkę, moi śliczni - powiedziała, po czym podnosząc głos zawołała: - Zelda! Przynies sznury! Nasze ptaszki chcą wyfrunąć!

- Idę, Kate, już idę! - odpowiedział ktoś z brytyjskim akcentem. Po chwili w drzwiach pojawiła się wysoka, elegancko ubrana kobieta. W ręce miała zwój powroza.

- Mądre sztuki, bardzo mądre - zawodziła stara Cyganka. - Potrzymaj tego tutaj, a ja mu podwiążę skrzydełka.

Pete mógł tylko patrzeć, jak dwie kobiety związywały z powrotem jego przyjaciela. Najpierw przecięły i ściągnęły z niego siatkę, a potem mocno związały mu powrozem ręce do tyłu. Następnie skrępowały mu nogi. Koniec sznura, którym miał związane ręce, przewlokły przez żelazną obręcz przykutą do ściany.

Siatka owijająca Pete'a była nie naruszona, więc tylko owinęły go kilkakrotnie powrozem i mocno związały końce.

- Teraz się już stąd nie ruszą - zagadkała stara. - Nigdy stąd nie wyjdą. Przekonałam mężczyzn, że nie trzeba postępować okrutnie. O nie, nie ma potrzeby przelewać krwi. Wystarczy zostawić ich tutaj i zamknąć drzwi lochu. Nigdy nikomu nie powiedzą, co zaszło.

- Szkoda - powiedziała Angielka. - Wyglądają na miłych chłopców.

- Tylko się nie rozczulaj - zaskrzeczała Cyganka. - Przegłosowaliśmy sprawę i nie

możesz się sprzeciwić większości. Pospiesz się teraz. Zatrzymamy ślady i już nas tu nie ma.

Zabrała latarnię wiszącą na ścianie i wyszła z celi. Angielka trzymała drugą latarnię nad chłopcami.

- Dlaczego musieliście być tak uparci, dzieciaki? Wszyscy inni uciekali, aż się za nimi kurzyło. Jedna mała melodyjka na organach grozy i nikt tu więcej nie wracał. Dlaczego wy uparliście się wracać?

- Trzej Detektywi nigdy nie ustępują przed niebezpieczeństwem - oświadczył nieugięty Jupiter.

- Czasami rozsądniej jest ustąpić - odparła. - No, czas się pożegnać. Mam nadzieję, że nie będziecie się bali w ciemnościach. Muszę już iść.

- Nim pani odejdzie - odezwał się Jupiter i Pete musiał podziwiać spokój, z jakim mówił - czy mogę zadać jedno pytanie?

- Pewnie, chłopcze, pewnie.

- W jaką działalność kryminalną jesteście, pani i jej pobratymcy, zaangażowani?

- Ba! Jakie wyszukane słowa! - Angielka roześmiała się. - A więc, młody człowieku, jesteśmy przemytnikami. Szmuglujemy ze Wschodu kosztowności, głównie perły, i ten stary dom służy nam za siedzibę. Przez lata udawało nam się przeganiać stąd wszystkich, stwarzając wrażenie, że w domu straszy. Zamek stanowi świetną kryjówkę.

- Ale dlaczego nosicie tak rzucające się w oczy kostiumy? - zapytał Jupiter. - Nie sposób nie zwrócić na was uwagi.

- Nikt nas nie widuje, młody człowieku. Nie powinnam odpowiadać ci na wszystkie pytania, bo nie będziesz miał o czym rozmyślać. A teraz, w razie gdybyśmy się już więcej nie zobaczyli, a nie sądzę, żeby do tego doszło, żegnajcie!

Wyszła spieszenie, zabierając ze sobą latarnię. Kiedy zamknęła drzwi celi, ogarnęła ich absolutna ciemność. Pete czuł, że wysycha mu w gardle, a język przykleja się do podniebienia.

- Jupe, powiedz coś. Chcę chociaż usłyszeć twój głos.

- Och, przepraszam - powiedział Jupiter z roztargnieniem.

- Zamyśliłem się.

- Zamyśliłeś się? W takim momencie?

- Dlaczego nie? Czy zauważyłeś, że Cyganka Kate skrzyła po wyjściu stąd w prawo i poszła korytarzem w tamtym kierunku?

- Nie, nie zauważyłem. Co za różnica?

- Ta, że jest to przeciwny kierunek do tego, z którego nas przyniesiono. Nie poszła

więc na górę, ale głębiej do lochów. To wskazuje, że musi tam być jakieś sekretne wyjście. A to z kolei wyjaśnia, dlaczego nie znaleźliśmy żadnych śladów koło zamku.

Nie do wiary! Nawet związany i zostawiony w lochach na śmierć głodową. Jupiter nie dawał odpocząć swoim szarym komórkom.

- Przypuszczam, że snując te rozważania, nie wpadłeś na pomysł, jak mamy się stąd wydostać?

- Nie, nie wymyśliłem żadnego sposobu wyjścia stąd bez czyjejś pomocy. Proszę, wybacz mi, Pete. Fatalnie się przeliczyłem w tej sprawie.

Pete nie miał już nic do powiedzenia. Leżeli w milczeniu, wsłuchując się w drobne szmery w ciemnościach. Gdzieś przebiegła mysz. Skądś dochodziło kapanie wody. Kropla spadała po kropli wolno, zdając się odmierzać minuty, które im zostały.

Rozdział 17

Tropem znaków zapytania

Worthington i Bob Andrews zaczęli się denerwować. Od godziny siedzieli w rolls-royce'ie, wyczekując powrotu Jupitera i Pete'a, a ich wciąż nie było widać. Co pięć minut Bob wysiadał z samochodu i wpatrywał się w głęb Czarnego Kanionu. Co jakieś dziesięć minut Worthington robił to samo. Czarny Kanion zdawał się gardzielą ogromnego węża.

- Panie Andrews. Myślę, że powinniśmy po nich pójść - powiedział wreszcie Worthington.

- Ale nie powinienes przecież zostawiać samochodu, Worthington. Nie wolno panu spuszczać go z oczu.

- Pan Jones i pan Crenshaw są ważniejsi od auta. Idę ich poszukać.

Wysiadł z rolls-royce'a, obszedł go i otworzył bagażnik. Bob stanął przy nim.

- Ja też idę, Worthington. To są moi przyjaciele.

- Dobrze, pójdziemy razem.

Wyjął z bagażnika latarnię elektryczną i po namyśle ciężki młotek, który mógł w razie potrzeby służyć za broń. Ruszyli w górę kanionu. Bob ze swoją usztywnioną nogą miał trudności w dotrzymaniu kroku długonogiemu szoferowi i Worthington niemal go niósł przez najbardziej zabarykadowane kamieniami odcinki drogi. W ten sposób szybko doszli do Zamku Grozy.

Odkryli od razu, że w drzwiach frontowych nie ma klamki i nie da się ich z zewnątrz otworzyć. Potem Worthington znalazł klamkę leżącą na podłodze.

- Najwyraźniej chłopcy nie weszli tymi drzwiami - powiedział. - Musimy poszukać innego wejścia do budynku.

Chodzili tam i z powrotem wzdłuż frontowej ściany, świecąc latarnią w okna. Nagle Bob spostrzegł wielki znak zapytania, narysowany białą kredą na lekko uchylonym oknie tarasowym.

- Musieli wejść przez to okno! - wykrzyknął i opowiedział Worthingtonowi o sekretnym znaku Trzech Detektywów.

Otworzyli okno szeroko i wśliznęli się przez nie do środka. Worthington oświetlił pokój dookoła i zobaczyli, że znajdują się w starej jadalni.

- Trudno powiedzieć, którędy poszli dalej. - Worthington rozglądał się z niepokojem. - Pokój ma kilkoro drzwi i żadne nie są oznaczone.

Wtem Bob zauważył duże lustro. Pośrodku był kredowy znak zapytania.

- Nie mogli przecież przejść przez lustro - powiedział Worthington z zafascynowaniem. - Należy jednak rzecz zbadać.

Uchwycił ramę lustra i ku ich zdumieniu lustro otworzyło się jak drzwi. Za nimi był wąski korytarz.

- Sekretne przejście! - wykrzyknął Worthington. - Chłopcy musieli pójść tędy, więc idźmy ich śladem.

Bob był pewien, że sam by się nie odważył zagłębić w wąski, ciemny pasaż. Ale Worthington maszerował nim już dziarsko i Bob, chcąc nie chcąc, przyłączył się do niego. Na drzwiach na końcu korytarza spostrzegli następny znak Pierwszego Detektywa. Otworzyli drzwi i znaleźli się w pokoju projekcyjnym. Worthington podniósł latarnię oświetlając rozsypujące się aksamitne draperie, zniszczone fotele i pokryte kurzem organy. Po chłopcach nie było jednak ani śladu.

Bob zauważył, że coś się dziwnie świeci pod jednym z krzeseł. Schylił się i zajrzał pod siedzenie.

- Worthington! - wykrzyknął. - Tu jest nowa latarka Pete'a!

- Pan Crenshaw nie rzucił jej tam tak po prostu. Coś się tu musiało stać. Poszukajmy w tym miejscu dokładnie, czy nie ma jakichś wskazówek.

Opuścili się na czworaki w nawie między krzesłami. Worthington postawił latarnię na podłodze.

- Proszę popatrzeć! - wskazał. - W tym miejscu jest spora plama, gdzie kurz został naruszony.

Miał rację. Ponadto pośrodku plamy zobaczyli niezdarnie nabazgrany biały znak zapytania. To zmartwiło Worthingtona, ale nie podzielił się z Bobem swoimi obawami. Podniósł się z klęczek i ruszył na zwiady, wypatrując uważnie, póki nie znalazł odcisków stóp w kurzu. Biegły przed pierwszym rzędem krzeseł za resztki ekranu i do drzwi za nimi. Drzwi otwierały się na korytarz. Schody prowadziły w dół, w jeszcze głębsze ciemności, ale sam korytarz biegł w drugą stronę.

Stali zastanawiając się, czy zejść po schodach, czy pójść dalej korytarzem, gdy Worthington wypatrzył ledwie widoczny znak zapytania na najwyższym stopniu.

- Schodami w dół - powiedział. - Pan Jones jest bardzo pomysłowy. Oznaczył dla nas swoją trasę.

- Jak myślisz, Worthington, co się stało? - pytał Bob, kuśtykając w dół kręconych schodów, które zdawały się nie kończyć, aż odczuł zawrót głowy.

- Można się tylko domyślać - szofer przystanął na podeście schodów, żeby się przyjrzeć kolejnemu białemu znakowi. - Gdyby pan Jones tędy szedł, zostawiałby swoje znaki na ścianie, na poziomie oczu. To że znaki umieszczone są na ziemi, zmusza mnie do wniosku, że był niesiony i korzystał z okazji, kiedy osoba lub osoby, które go nosły, kładły go na podłodze dla odpoczynku. Prawdopodobnie wtedy mógł niepostrzeżenie narysować znak.

- Ale kto mógł go znieść do piwnicy? - zapytał Bob z przerażeniem. - Jeśli to w ogóle jest piwnica. Wygląda to raczej na jakieś lochy.

- Tak, przypomina lochy w starym zamku angielskim, w którym byłem kiedyś zatrudniony. Bardzo nieprzyjemne miejsce. A tego, kto niósł pana Jonesa, nie potrafię zgadnąć. Niestety, straciliśmy trop.

Byli u podnóża schodów. Stąd korytarz rozwidłał się w trzech kierunkach, jeden ciemniejszy od drugiego. W żadnym nie było kredowego znaku.

- Zgaśmy światło i słuchajmy - powiedział szofer. - Po ciemku może uda się nam coś usłyszeć.

Stali wytyżając słuch w ciemnościach przesiąkniętych wilgocią i stęchlizną. Cisza była absolutna. Wtem usłyszeli odgłos, jakby ktoś przesunął kamień po kamieniu. Po chwili w środkowym odgałęzieniu korytarza ukazało się nagle światełko.

- Czy to pan, panie Jones? - zawołał Worthington.

Na moment ukazała się im kobieta z latarnią w ręku. Po czym światło latarni zgasło i po chwili znowu rozległo się szuranie kamienia po kamieniu. Następnie zaległa cisza i mrok.

- Za nią! - krzyknął Worthington.

Puścił się pędem przez korytarz, a Bob kuśtykał, jak mógł najszybciej. Gdy się zrównali, Worthington stał przed gładką, betonową ścianą i walił w nią co sił. Korytarz kończył się ślepo.

- Przeszła tędy! - krzyczał szofer. - Mogę przysiąc! Nie ma innej drogi.

Wyjął zza paska ciężki młotek i zaczął walić w ścianę. Za którymś razem usłyszał pusty odgłos. Wziął zamach i uderzał w to miejsce coraz mocniej. Cement zaczął się kruszyć. Po chwili Worthington przebił ścianę na wylot. Była tylko parocentymetrowej grubości, cement zarzucony był na drucianą ramę. Ukryte drzwi! Dzięki wybitej dziurze, Worthington miał za co uchwycić i zaczął szarpać drzwiami to w jedną, to w drugą stronę. Za czwartym szarpnięciem otworzyły się, ukazując kolejne sekretne przejście. Zdawał się prowadzić prosto w głąb wzgórze kanionu. Pułap i ściany stanowiły litą skałę.

- Tunel! - wykrzyknął Worthington. - Kimkolwiek byli ludzie, którzy schwytali

chłopców, musieli tędy opuścić zamek. Kobieta była zapewne jedną z nich. Szybko, nim zdąży nam uciec!

Wziął Boba pod pachę i ruszył szybko w głąb tunelu. Po paru metrach podłóże stało się bardzo nierówne, a pułap obniżył się tak dalece, że szofer musiał iść pochylony. Tracił niechcący latarnią o ścianę. Wypadła mu z ręki i zgasła.

Bob obmacywał ziemię wokół w poszukiwaniu latarni, gdy usłyszał trzepot skrzydeł, niespokojne piski i ćwierkanie. Coś pacnęło go miękko i po chwili poczuł drugie pacnięcie w głowę.

- Nietoperze! - wrzasnął przerażony. - Worthington, zostaliśmy zaatakowani przez nietoperze-olbrzymy!

- Spokojnie, chłopcze, nie wpadaj w panikę.

Szofer ukląkł obok niego, by poszukać latarni, a Bob zakrył głowę rękami. Duże, miękkie stworzenia fruwały wokół niego z trzepotem. Jedno wylądowało mu na głowie. Stracił je z wrzaskiem.

- Worthington! One są większe od gołębi. To gigantyczne nietoperze-wampiry!

- Nie sądzę, proszę pana.

Worthington odnalazł wreszcie latarnię, zapalił ją i podniósł w górę. Zobaczyli fruujące nad nimi stado. Ale nie były to nietoperze, lecz ptaki. Na widok światła zleciały się do niego z piskiem i świergotem.

Worthington zgasił latarnię.

- Światło je wabi. Wrócimy po ciemku. Daj mi rękę.

Bob złapał go za rękę i szli po omacku wzdłuż chropowatych ścian. Wydawało się, że ptaki zniknęły. W każdym razie ucichły w ciemnościach i poszukiwacze bez przeszkód dotarli do sekretnych drzwi. Przeszli do piwnic zamku i Worthington zamknął drzwi, żeby odciąć drogę ptakom.

- Myślę, że nie wyniesiono chłopców przez ten tunel - powiedział. - Ci, którzy ich pojмали, musieliby położyć ich na ziemi, żeby otworzyć drzwi i pan Jones miałby okazję zostawić znak. Nigdzie takiego znaku tu nie widzę.

Istotnie pod drzwiami nie było białego znaku zapytania, ale usłyszeli krzyki. Bez żadnych wątpliwości rozpoznali ten głos. Jupiter wołał o pomoc. Po chwili przyłączył się do niego Pete.

Krzyki dochodziły z głębi korytarza i były bardzo stłumione. Worthington pospieszył w ich kierunku i znalazł drzwi, których biegnąc za kobietą nie zauważyli. Za drzwiami była prawdziwa cela z żelaznymi obręczami na ścianach. Na podłodze leżeli Pete i Jupiter,

opakowani jak gwiazdkowe prezenty. Nie wyglądali wcale na uszczęśliwionych przybyciem pomocy. Przeciwnie, irytowali się, że ich krzyki nie zostały wcześniej usłyszane.

Worthington poprzecinał ich więzy i tłumaczył, że ścigali tajemniczą kobietę, a potem narobił zbyt wiele hałasu przy rozbijaniu ściany, odcinającej korytarz od tunelu, żeby cokolwiek słyszeć.

- Musimy wyjść stąd natychmiast i zawiadomić władze - mówił, podczas gdy Pete i Jupiter otrzępywali się z kurzu. - Ci ludzie są niebezpieczni. Zostawili was tutaj na pewną śmierć.

Ale Jupe go nie słuchał. Dopiero wzmianka Boba o ataku ptaków w tunelu zaostrzyła jego uwagę.

- Jakie to były ptaki? - zapytał.

- Jakie ptaki? - krzyknął Bob zapalczywie. - Nie zatrzymałem się, żeby zapytać. Atakowały nas niczym małe orły.

- Tak naprawdę były nieszkodliwe - wtrącił Worthington. - Przyciągnęło je światło. Zdaje się, że to były papugi.

- Papugi! - Pierwszy Detektyw porwał się jak spięty ostrogą. - Za mną! Musimy działać błyskawicznie!

Odpiął latarkę od paska i wypadł z celi.

- Co go ugryzło? - zapytał Pete. Bob oddał mu latarkę.

- Trafił chyba na ślad - odpowiedział. - W każdym razie nie możemy pozwolić, żeby poszedł sam.

- Absolutnie nie możemy na to pozwolić - przyznał Worthington. - Idziemy za nim, chłopcy.

Pobiegli za Jupiterem, który mimo obandażowanej kostki, oddalił się już o dobre pięćdziesiąt metrów. Pete popędził przodem do tunelu, a Worthington szedł wolniej, żeby dotrzymać kroku Bobowi. Gdy dotarli do sekretnych drzwi, światła latarek Pete'a i Jupe'a tańczyły daleko w przdzie, po czym zniknęły za zakrętem skalnego tunelu.

Worthington i Bob maszerowali możliwie jak najszybciej, nie bacząc na krążące wokół nich wystraszone papugi. W niektórych miejscach tunelu Worthington musiał się zginać we dwoje. Wyszli wreszcie na prosty odcinek za zakrętem i dostrzegli, że światła przed nimi zatrzymały się. Dotarli dość szybko do otwartych drewnianych drzwi, a za nimi zastali Pete'a i Jupitera. Stali wewnątrz wielkiej drewnianej klatki, a wokół nich fruwały z trzepotem papugi, skrzecząc wystraszone.

- Jesteśmy w klatce, w której pan Rex hoduje papugi - krzyknął do nich Jupiter. -

Czarny Kanion musi się kończyć dokładnie równolegle z końcem Winding Valley Road, dzieli je tylko kilkaset metrów skalistego grzbietu wzgórza. Nigdy nie pomyślałem o tej możliwości. Początek drogi i Czarnego Kanionu dzieli tyle kilometrów, jeśli się jedzie wokół wzgórza.

Mocno pchnął drewniane drzwi klatki. Odskoczyły i przecisnęły się przez nie, wychodząc tuż przy domku pana Rexa. Przez okno zobaczyli właściciela. Siedział przy stole z małym mężczyzną o bujnej czuprynie, najspokojniej w świecie grali w karty.

- Zaskoczmy ich - szepnął Jupiter. - Zgaście latarki.

Podeszli cicho do frontowych drzwi. Jupiter nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły. Na progu stał pan Rex, obrzucając ich wściekłym spojrzeniem. Po raz pierwszy Bob mógł zobaczyć na własne oczy, jak niesamowicie wygląda ten człowiek z łysą głową i blizną na szyi.

- No, o co chodzi? - wyszeptał.

- Chcieliśmy z panem porozmawiać - powiedział Jupiter.

- A jeśli ja sobie nie życzę, żeby mnie nachodzono w moim domu?

- W takim razie - odezwał się Worthington - będziemy zmuszeni zawiadomić policję.

To musiało zaniepokoić pana Rexa.

- Nie ma takiej potrzeby! Wejdźcie, proszę, wejdźcie! Przeszli za panem Rexem do pokoju, gdzie przy stoliku do kart siedział mały mężczyzna. Miał co najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu.

- Mój stary przyjaciel Charles Grant - przedstawił go Rex. - Charlie, to są chłopcy, którzy penetrują Zamek Grozy. Jak tam, chłopaki, znaleźliście już ducha?

- Tak - powiedział Jupiter śmiało. - Wyjaśniliśmy tajemnicę tego zamku.

Przekonanie, z jakim powiedział te słowa, wywołało lekki szok u Boba i Pete'a. Jeśli cokolwiek wyjaśnili, nic im o tym nie było wiadomo.

- Doprawdy? - zapytał Szeptacz. - I jakaż to tajemnica?

- Wy dwaj jesteście duchami zamku i to wy wystraszyliście wszystkich stamtąd. A parę minut temu związaście mnie i Pete'a i zostawiliście w lochach zamku.

Szeptacz popatrzył na niego tak groźnie, że Worthington zacisnął rękę na uchwycie młotka.

- To bardzo poważne oskarżenie, chłopcze - wyszeptał Rex.

- Będziesz musiał je poprzeć dowodami.

Pete pomyślał sobie to samo. Czy Jupe'owi pomieszało się w głowie? Przecież związały ich Angielka i Cyganka.

- Proszę popatrzeć na czubki swoich butów - powiedział Jupiter. - Kiedy mnie wiązaliście, postawiłem na nich nasz sekretny znak.

Rzeczywiście, na lśniącej skórze prawych butów obu mężczyzn widniał kredowy symbol Trzech Detektywów - znak zapytania.

Rozdział 18

Wywiad z duchem

Zarówno dwaj winowajcy, jak i Pete, Bob i Worthington, byli wstrząśnięci.

- Ale... - zaczął Pete.

- Nosili kobiece ubrania i peruki - wpadł mu w słowa Jupiter.

- Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy odkryłem, że mają na sobie męskie buty.

Zrozumiałem wtedy, że pięcioosobowa banda, która nas pojmała, składa się faktycznie tylko z dwóch mężczyzn, którzy przebierają się w różne kostiumy.

- Czy to znaczy, że dwóch Arabów, Azjata i dwie kobiety to tylko pan Rex i pan Grant? - pytał Pete oszołomiony.

- Jupiter ma rację - powiedział pan Rex zmęczonym głosem.

- Chcieliśmy sprawiać wrażenie, że jesteśmy dużą bandą, żeby was naprawdę nastraszyć. Obszerne kostiumy, suknie, spódnice mogliśmy szybko zmieniać. Nie chciałbym jednak, żebyście myśleli, że naprawdę chcieliśmy wam wyrządzić krzywdę. Kiedy wasi przyjaciele dostrzegli i mnie w tych podziemiach, wracałem właśnie, żeby was uwolnić.

- Nie jesteśmy mordercami - dodał mały pan Grant. - Ani też przemytnikami. Po prostu jesteśmy duchami.

Zachichotał, ale pan Rex zachował powagę.

- Ja jestem mordercą - powiedział. - Zabiłem Stephena Terrilla.

- Ach słusznie - przyznał mały człowieczek takim tonem, jakby to był drobiazg, który umknął jego pamięci, jak nakręcenie zegarka. - Pozbyłeś się go, ale trudno to brać pod uwagę.

- Policja może być innego zdania - odezwał się Worthington. - Chłopcy, myślę, że lepiej będzie sprowadzić ją tutaj.

- Nie, zaczekajcie! - Szeptacz podniósł rękę. - Dajcie mi chwilę, a umożliwię wam rozmowę ze Stephenem Terrillem.

- Chce pan powiedzieć z jego duchem! - wykrzyknął Pete.

- Właśnie. Porozmawiacie z jego duchem. Wyjaśni wam, dlaczego go zabiłem.

Po tych słowach Szeptacz wymknął się do sąsiedniego pokoju, nim ktokolwiek zdążył go zatrzymać.

- Nie bójcie się, nie ucieknie - powiedział pan Grant. - Wróci za minutę. Przy okazji, Jupiterze Jones, masz twój scyzoryk.

- Dziękuję - ucieszył się Jupe, który był bardzo przywiązany do scyzoryka.

Nie upłynęła nawet minuta, gdy drzwi sąsiedniego pokoju otworzyły się i wszedł... nie, to nie był pan Rex. Ten mężczyzna był niższy i młodszy, miał gładko zaczesane siwobrazowe włosy. Nosił tweedową marynarkę. Patrzył na nich z miłym uśmiechem.

- Dobry wieczór - powiedział. - Jestem Stephen Terrill. Chcieliście zobaczyć się ze mną?

Wszyscy czterej patrzyli na niego i nie byli w stanie się odezwać. Nawet Jupiterowi zabrakło tym razem słów.

Wreszcie pan Grant powiedział:

- To naprawdę jest Stephen Terrill.

Jupiter miał minę, jakby się właśnie wgryzł w piękne, soczyste jabłko i znalazł w środku robaka. Nie posiadał się ze złości na samego siebie.

- Jest pan równocześnie Jonathanem Rexem, tak zwanym Szeptaczem, prawda? - zapytał.

- On, Szeptaczem? - zdumiał się Pete. - Ależ on nie jest dość wysoki i ma włosy, i...

- Do usług - Stephen Terrill zdarł z głowy perukę ukazując kompletną łysinę. Wyprostował się tak, że nagle był o wiele wyższy, zmrużył skośnie oczy, wykrzywił usta i syknął: - Stać, jeśli wam życie miłe!

Zmienił się tak radykalnie, że wszyscy aż podskoczyli. Był znowu Szeptaczem. Równocześnie był przecież rzekomo dawno zmarłym gwiazdorem filmowym. Bob i Pete pojęli to wreszcie.

Pan Terrill wyjął z kieszeni jakiś dziwny przedmiot. Była to sztuczna blizna z plastyku.

- Kiedy umieszczam to na szyi, zdejmuję perukę i zakładam buty na podwyższonej podeszwie, przestaję być sobą, czyli Stephenem Terrillem - wyjaśnił. - Ściszam głos do złowrogiego szeptu i staję się przerażającym osobnikiem znanym jako Szeptacz.

Załóżyl z powrotem perukę, wygładził włosy i znowu wyglądał zupełnie przeciętnie.

Wszyscy zaczęli mu równocześnie zadawać pytania. Podniósł rękę.

- Lepiej usiądźmy i wszystko wam wyjaśnię. Popatrzcie na to zdjęcie - wskazał na fotografię, gdzie Szeptacz i Terrill wymieniają uścisk dłoni. - Jest to oczywiście fotomontaż dla poparcia złudzenia, że istnieją dwaj różni mężczyźni. Widzicie, wiele lat temu, kiedy zdobyłem sławę jako aktor, moja nieśmiałość i wada wymowy bardzo mi utrudniały należyte zajęcie się sprawami mojej kariery. Stworzyłem wtedy postać Szeptacza, który mnie reprezentował. Jego przejmujący szept skrywał moje seplenienie, a groźny wygląd ułatwiał uzyskanie tego, czego sobie życzyłem. Nikt, poza tu obecnym przyjacielem, Clarkiem

Grantem, nie wiedział o mojej podwójnej osobowości. Charlie był moim charakterizatorem i pomagał mi zmieniać się z Terrilla w Szeptacza.

Ten podstęp działał doskonale, dopóki nie zrobiłem mojego pierwszego filmu dźwiękowego. Wtedy cały świat zaczął się śmiać ze mnie! To był straszliwy cios dla mojej dumy. Wycofałem się z filmu i zamknąłem w ścianach własnego domu. Kiedy się dowiedziałem, że bank chce mi go odebrać, zgnębiło mnie to ostatecznie, wpadłem w rozpacz.

- W czasie budowy mego zamku, robotnicy odkryli uskoki skalny w zboczu Czarnej Kanionu. Biegł pod całym grzbiecie górskim aż na drugą stronę i otwierał się na końcu Winding Valley Road. Kazałem zamurować naturalny tunel, ale po kryjomu zainstalowałem w ścianie drzwi. Następnie, jako Jonathan Rex, kupiłem teren po drugiej stronie tunelu i tu zbudowałem sobie wspaniały dom. W ten sposób mogłem wchodzić i wychodzić z zamku, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

W tym czasie często odbywałem długie, samotne przejażdżki samochodem, starając się wyrwać z głębokiej depresji. Pewnego dnia, jadąc drogą wysoko nad oceanem, wpadłem na pomysł zaaranżowania własnej śmierci.

- Zrzucił pan swój samochód do przepaści - wtrącił Jupiter.

- Tak. Napisałem list pożegnalny i zostawiłem go w miejscu, gdzie, byłem pewien, zostanie odnaleziony. Potem, pewnej ciemnej, burzliwej nocy zainscenizowałem wypadek. Samochód zjechał z drogi w przepaść. Oczywiście beze mnie. To był koniec Stephena Terrilla, w każdym razie dla świata. Dla mnie zresztą również. W moim pojęciu umarł i chciałem, żeby go pogrzebano na zawsze. Nie potrafiłem się jednak rozstać z moim zamkiem. Myśl, że stanie się własnością kogo innego, była dla mnie nie do zniesienia.

Choć nie mieszkałem odtąd w zamku, mogłem do niego wchodzić, kiedy chciałem, przez tunel. Poszedłem tam po kryjomu, kiedy policja przeszukiwała zamek, postarałem się, żeby odeszli w pośpiechu. Widzicie, w czasie budowy zainstalowałem w zamku różne urządzenia dla dostarczania moim przyjaciołom dreszczyku emocji. Okazały się bardzo pomocne w ustaleniu powszechnej opinii, że w zamku straszny.

Kiedy bank przysłał swoich ludzi do zarekwirowania moich ruchomości, dostarczyłem im upiornych sensacji. Wkrótce niewiele było trzeba, by wystraszyć każdego, kto wchodził do zamku. Własna wyobraźnia tych ludzi wyręczała mnie niemal całkowicie. Niemniej jednak zadbałem, żeby przerażająca reputacja zamku nie słabła. Dla nadania całemu otoczeniu jeszcze bardziej odstręczającego wyglądu strącałem od czasu do czasu na drogę kamienie ze stoków kanionu. Moja metoda była skuteczna. Nikt nie chciał kupić zamku. Jako

Jonathan Rex, hodowca rzadkich ulubieńców domowych, uzbierałem niemal całą sumę na pierwszą wpłatę... wtedy wyście się zjawili, chłopcy... - westchnął i dodał: - Okazaliście się bardziej uparci niż ktokolwiek przedtem.

Jupiter, który słuchał z wielką uwagą, zapytał:

- Proszę pana, czy to pan telefonował do nas po naszej pierwszej wizycie w zamku?

- Tak. Myślałem, że was powstrzymam od dalszych wizyt.

- Ale skąd pan wiedział, że wybieramy się do zamku tego wieczoru i kim jesteśmy?

Aktor uśmiechnął się lekko.

- Mój przyjaciel Charlie jest moim zwiadowcą - powiedział, a mały człowieczek skinął głową. - Zaraz przy wjeździe do Czarnego Kanionu stoi w ledwie widocznym miejscu mały domek. Charlie w nim mieszka. Kiedy tylko widzi, że ktoś wjeżdża do kanionu, daje mi znać telefonicznie. Przechodzę wtedy szybko do zamku przez tunel i czekam, gotów na przyjęcie gościa.

Kiedy owego wieczoru opisał mi rolls-royce'a, przypomniała mi się wzmianka z gazety o wygranej w konkursie. Zapamiętałem nazwisko zwycięzcy.

Tamtym razem opuściliście zamek ze znacznym pośpiechem. Niech was to nie zawstydza. Inni odchodzili w jeszcze większym popłochu. Wróciłem do swego domku i zacząłem wertować książkę telefoniczną. Nie znalazłem twojego nazwiska, więc zadzwoniłem do informacji i otrzymałem twój numer telefonu.

- Ach, tak - powiedział Jupiter.

Pete drapał się w głowę. Tak jak Jupe powiedział, wyjaśnienie tajemnicy jest proste, kiedy się je zna. Ale zanim się je pozna, bardzo trudno je znaleźć.

- Więc to dlatego wtedy, kiedy byliśmy z Pete'em u pana. Chudy Norris... to znaczy tamci dwaj uciekali z zamku tak szybko - zauważył Jupiter.

- Tak, Charlie mnie ostrzegł i oczekiwałem ich. jednakże wasze przybycie niemal w tym samym czasie zaskoczyło nas prawie nie przygotowanych.

Mały pan Grant zdawał się zakłopotany.

- Chciałbym wam to wyjaśnić, chłopcy - powiedział. - Kiedy wjechaliście do kanionu, było za późno, żeby ostrzec Steve'a o drugiej wizycie. Zakradłem się do kanionu boczną ścieżką, żeby mieć was na oku. Widziałem, jak uciekają tamci dwaj chłopcy, i obserwowałem was, kiedy ich goniliście. Potem niechcący strąciłem w dół kamień, spojrzeliście w górę i zobaczyliście mnie.

- A więc to pana staraliśmy się złapać! - wykrzyknął Pete. - I pan posłał na nas lawinę kamieni?

- To się stało naprawdę przypadkowo. Kamienie leżały spiętrzone przy ścieżce. Miały się przydać do zepchnięcia na drogę dla odstraszenia ewentualnych nabywców zamku. Usiłowałem się za nimi schować i naruszyłem tę stertę. Okropnie się wystraszyłem, że mogą was poranić, choć widziałem, że się chowacie do rozpadliny. Potem zobaczyłem koniec kija, którym przebiliście blokadę rozpadliny, i doszedłem do wniosku, że jesteście bezpieczni. Czekałem jednak, póki nie wyszliście szczęśliwie z rozpadliny. Gdyby się wam nie udało, pośpieszyłbym z pomocą.

Pete nie wiedział już, o co mógłby jeszcze zapytać. Wyjaśnienia obu panów rozwiązały szereg zagadek. Łatwo można było teraz zrozumieć, dlaczego byli zawsze gotowi na przybycie do zamku detektywów.

Jupiter jednak wciąż miał wątpliwości.

- Rozumiem teraz większość tego, co zaszło, ale kilka kwestii nadal pozostaje dla mnie niejasnych.

- Pytaj, o co tylko chcesz - zachęcił aktor. - Zasłużyłeś sobie na wszystkie wyjaśnienia.

- Tego popołudnia, kiedy przyszliśmy tu do pana, był przygotowany dzban lemoniady, jakby nas pan oczekiwał. Powiedział pan także, że ścinał pan suche poszycie, co było nieprawdą. To drobnostki, ale chciałbym znać wyjaśnienie.

Aktor znieruchomiał.

- Kiedy wydostaliście się z rozpadliny skalnej, byliście zbyt zaabsorbowani całą sytuacją, żeby zauważyć Charliego, który szedł za wami aż do samochodu. Ukrył się w pobliżu i usłyszał adres, który podałeś szoferowi. Zaraz po waszym odjeździe dał mi o tym znać. Natychmiast wzięłem się do przygotowań. Z okna mam widok na długi odcinek Winding Valley Road. Ten staroświecki rolls-royce ze złoceniami łatwo można rozpoznać. Gdy tylko go zobaczyłem, zrobiłem lemoniadę i wymknąłem się w krzaki, zabierając ze sobą maczetę. Stamtąd obserwowałem was, jak się wspinać moją ścieżką.

Ciągle jeszcze nie byłem zdecydowany, jak was potraktować. W końcu postanowiłem poczęstować was lemoniadą i postraszyć opowieściami o duchach Zamku Grozy, żebyście wreszcie trzymali się od niego z daleka. Miejcie, proszę, na uwadze, że starałem się wam powiedzieć możliwie jak najmniej nieprawdy. Mówiłem oczywiście, że Stephen Terrill nie żyje, ale dla mnie umarł istotnie.

Mówiłem także, że nigdy przez te lata nie przestąpiłem progu zamku, co jest zgodne z prawdą. Zawsze wchodzę i wychodzę przez tunel. Wyjście do tunelu znajduje się w klatce z ptakami, co ułatwia mi wchodzenie tam w sposób niepostrzeżony. Dzisiejszego wieczoru tak

się spieszyłem, że zostawiłem drzwi do tunelu otwarte i papugi się tam dostały.

Jupiter skubał wargę.

- Cyganka, którą pan do mnie przysłał, była przebrany panem Grantem, prawda?

- Tak, mój chłopcze. Kiedy się dowiedziałem, że jesteście detektywami, zrozumiałem, że się was łatwo nie pozbędę. Dlatego Charlie ucharakteryzował się na starą Cygankę. Doprawdy miałem nadzieję, że to ostrzeżenie was przestraszy i skłoni do ustąpienia.

- Przeciwnie, panie Terrill, to pobudziło moją ciekawość - powiedział Jupiter. - Nikogo przedtem nie ostrzegano. Zaciekawilo mnie, dlaczego wybrano właśnie nas. Duchy nie zadają sobie trudu ostrzegania ludzi. Stąd prosty wniosek, że ktoś z żyjących nie życzy sobie naszej obecności w Zamku Grozy.

Później, oglądając zdjęcia zrobione przez Boba, zauważyłem, że zbroja w Holu Echa nie była zbyt zardzewiała. Po tylu latach wszystko powinno być przeżarte rdzą i grubo pokryte kurzem. Wyglądało na to, że ktoś po kryjomu opiekuje się zamkiem. Osobą zaś, dla której zamek znaczył najwięcej, był jej właściciel, Stephen Terrill. W ten sposób wydedukowałem, że pan żyje. Zbił mnie pan oczywiście z tropu dzisiejszego wieczoru, grając rolę międzynarodowej bandy przemytników. Jak przypuszczam, był pan Arabem, Azjata i Angielką, a pan Grant drugim Arabem i starą Cyganką.

- Zgadza się - Stephen Terrill figlarnie przymrużył oko. - Wykorzystaliśmy moją bogatą kolekcję kostiumów. Chciałem odstraszyć was na dobre. Pomyślałem, że lęk przed zemstą bandy szmuglerów zmusi was do porzucenia zamiaru zbadania tajemnicy zamku, skoro duchy nie przeraziły was wystarczająco. Staliście się naprawdę zbyt natarczywi! A więc znasz już całą historię. Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć?

- Bardzo dużo! - wyskoczył teraz Pete. - Po pierwsze, co z tym okiem, które patrzyło na nas pierwszego wieczoru?

- To było moje oko - powiedział pan Terrill. - Za obrazami jest sekretny korytarzyk, a w jednym obrazie znajduje się otwór do podglądania.

- Ale myśmy z Bobem obejrzeni potem obraz i nie było w nim żadnej dziury - upierał się Pete.

- Po waszej ucieczce powiesiłem w tym miejscu inny, identyczny obraz. Obawiałem się, że wrócicie zbadać go dokładnie.

- A Niebieska Zjawa? A stare organy, grające tę niesamowitą muzykę? A Mgła Strachu? Duch w lustrze? Zimny prąd powietrza w Holu Echa?

- Na te pytania odpowiem ci z największą niechęcią. Będzie to tak, jakby iluzjonista zdradzał sekrety swych trików, co odbiera im całą tajemniczość. Ale rzeczywiście

zasłużyliście na poznanie prawdy.

- Myślę, że zdołałem wydedukować, na czym polegają niektóre z pańskich sztuczek - wtrącił Jupiter. - Zimny prąd powietrza to były opary powstające przy topnieniu suchego lodu, które dostawały się do holu przez otwór w ścianie. Niesamowitą muzykę uzyskał pan puszczając od tyłu płytę przez wzmacniacz. Niebieska Zjawa była prawdopodobnie gazą, pokrytą migoczącą farbą, Mgła Strachu - produktem jakichś chemikaliów, a opary były wdmuchiwane do sekretnego pasażu przez drobne otwory.

- Masz rację, chłopcze - przyznał pan Terrill. - Przypuszczam, że z chwilą gdy zdałeś sobie sprawę, że za dziwnymi zjawiskami w zamku stoi człowiek, mogłeś łatwo się domyślić, w jaki sposób je produkuje.

- Tak, proszę pana. Duch w lustrze był prawdopodobnie rodzajem projekcji. Tylko jednej rzeczy nie jestem pewien. Jak zdołał pan wzbudzać wewnątrz zamku uczucie zdenerwowania i grozy?

- Nie proś mnie, proszę, żebym ci wyjawiał wszystko. Pewne moje sekrety chciałbym zachować. I tak odkryliście dość, żeby zburzyć wszystkie moje plany... Chcę wam coś pokazać. Patrzcie!

Otworzył na oścież drzwi do pokoju, w którym się przedtem zmienił ze złowrogiego Szeptacza w Stephena Terrilla. Była to duża garderoba. Na ścianach wisiały najrozmaitsze kostiumy. Na stojakach piętrzyły się peruki. W jednym rogu wznosiła się olbrzymia sterta okrągłych metalowych kaset na filmy.

- Tu, w tym pokoju... - powiedział aktor - przebywa rzeczywisty Stephen Terrill. Kostiumy, peruki. Wszystkie filmy złożone w tych kasetach. To jest naprawdę mną. Stephen Terrill był tylko narzędziem, które przekształcało te kostiumy i peruki w dziwne postacie ku uciesze milionów ludzi na całym świecie.

Przez wiele lat Zamek Grozy był moją ostatnią sceną. Zamiast być wyśmiewanym, budziłem w ludziach grozę. Cały ten czas pracowałem też nad sobą. Pozbyłem się seplenienia. Zdołałem nadać mojemu głosowi głębszy ton. Nauczyłem się imitować głosy ducha, kobiety, pirata, Araba, Chińczyka i wiele innych. Marzyłem o powrocie do filmu.

Ale mój czas minął. Nie ma więcej zapotrzebowania na ten rodzaj filmów, które robiłem. Produkowane dziś horrory są raczej obliczone na wywołanie śmiechu. Starym filmom, wyświetlanym w telewizji, dodaje się zabawne głosy i dźwięki, w skutek czego stają się śmieszniejsze. Ja nie zdegraduję mojego talentu dla wywołania taniego śmiechu!

Pan Terrill wyraźnie się zdenerwował. Uderzał pięścią jednej ręki w dłoń drugiej i ciężko oddychał.

- Teraz nie zostało mi już nic. Nie mogę być widmem Zamku Grozy. Stracę także zamek. Szeptaczem też nie mogę być. Zupełnie nie wiem, co robić.

Umilkł i starał się opanować. Jupiter, który niemal oberwał sobie wargę ciągłym skubaniem, zapytał:

- Proszę pana, czy na tych kasetach są te wszystkie wspaniałe filmy, w których pan grał i których nikt od lat nie oglądał?

Pan Terrill skinął głową i popatrzył na niego.

- Do czego zmierzasz?

- Mam pewien pomysł, dzięki któremu może pan odzyskać swój zamek i nadal dostarczać ludziom rozrywki, wywołując w nich strach, a nie śmiech. Widzi pan...

I jak zwykle pomysł Jupitera okazał się doskonały.

Rozdział 19

Pan Hitchcock dobija targu

Następnego rana, kiedy rolls-royce wioził chłopców w stronę Hollywoodu, Jupiter nie miał bynajmniej szczęśliwej miny. Pete wiedział, co go gryzie. Jupe wciąż nie mógł przeboleć, że nie odkrył faktu, że Szeptacz i Stephen Terrill to jedna osoba.

Jupe i Pete ponownie udawali się do pana Hitchcocka bez Boba, który musiał niestety pracować tego rana.

- Jak tylko Worthington powiedział, że w tym sekretnym tunelu widzieliście pełno papug - odezwał się Jupiter, ocknąwszy się z głębokich medytacji - wiedziałem, że są to papugi pana Rexa i że wylot tunelu musi się znajdować wewnątrz klatki. Przypuszczałem też, że pan Rex musiał niechcący zostawić drzwi tunelu otwarte. Ale wciąż nie domyślałem się, że pan Rex jest naprawdę Stephenem Terrillem.

- Domyśliłeś się wszystkiego poza tym - pocieszał przyjaciela Pete. - Nawet tego, że Terrill wciąż żyje, choć na pewien czas zostałeś zbity z tropu. Powinieneś być z siebie dumny.

Jupiter jednak wciąż kręcił głową.

Tym razem bez trudu dostali się do pana Hitchcocka. Strażnik przy bramie przepuścił ich skinieniem ręki i po paru minutach siedzieli w gabinecie sławnego reżysera.

- A więc, chłopcy - odezwał się pan Hitchcock gromko - co macie mi do zakomunikowania?

- Znaleźliśmy odpowiedni dom, proszę pana - odezwał się Jupiter.

- Doprawdy? - Pan Hitchcock wznosił brew pytająco. - I jakiego rodzaju duch tam straszy?

- Właśnie w tym kłopot - wyznał Jupiter. - Straszy w nim człowiek jak najbardziej żywy.

- Hmm... Brzmi to interesująco - pan Hitchcock odchylił się wygodnie na oparcie fotela. - Opowiedz mi o tym.

Wysłuchał uważnie całej historii. Kiedy Jupiter skończył, powiedział:

- Z przyjemnością się dowiaduję, że Stephen Terrill żyje. W swoim czasie był wielkim aktorem. Wyznam jednak, że jestem ciekaw, w jaki sposób stwarza w swoim zamku atmosferę grozy i daje ją odczuć każdemu, kto tam wejdzie.

- Wolał nam tego nie wyjawiać - odparł Jupiter. - Ale myślę, że mogę zaryzykować pewien domysł. Kiedy mój wujek starał się złożyć nowo kupione organy piszczalkowe, chciałem mu pomóc i przestudiowałem książkę o organach. Trafiłem w niej na zdanie, że wibracje poddźwiękowe, to znaczy zbyt niskie i głębokie dla ucha ludzkiego, mogą mieć ciekawe oddziaływanie na system nerwowy człowieka.

Myślę, że wśród piszczalek organów, które są rzekomo zdezelowane i nie do użytku, jest kilka emitujących głębokie wibracje odczuwalne przez system nerwowy. Bliżej źródła zdenerwowanie wzrasta do uczucia strachu i wreszcie grozy. Oczywiście efekt wibracji nie rozciąga się poza mury zamku. Jest to fakt, który moi partnerzy pewnego wieczoru sprawdzili.

Pete rzucił przyjacielowi spojrzenie. Więc to dlatego Jupe nalegał, żeby poszli z Bobem do zamku! Pete zamierzał powiedzieć coś zjadliwego, ale pan Hitchcock odezwał się właśnie:

- Młody człowieku, najwyraźniej zadałeś sobie wiele trudu, żeby zbadać, co się kryje za tajemnicą Zamku Grozy. Ale teraz, kiedy już tego dokonałeś, co stanie się ze Stephenem Terrillem? Nie sądzę, żebyś nam oddał przysługę, odkrywając jego sekret.

Jupiter splonął lekko.

- Pan Terrill ma pewien pomysł, proszę pana. W istocie, mocno się do niego zapalił. Zamierza pójść do banku z pieniędzmi, które zaoszczędził na hodowli papug, i omówić sprawę odkupienia swego zamku. Chce im przedłożyć pewien plan i jestem pewien, że bank zgodzi się na udzielenie mu dalszej pożyczki.

- Zapewne - zgodził się pan Hitchcock, mierząc Jupitera nieco z góry. - I co dalej?

- Następnie udostępni swój zamek turystom i będzie pobierał opłatę za zwiedzanie. Będzie urządzał pokazy swoich słynnych filmów grozy w prywatnej sali projekcyjnej. Pozwoli ludziom powalęsać się trochę po zamku, który pozostawi w niemal nie zmienionym stanie. Turyści będą ściągać tłumnie, żeby zobaczyć filmy i dać się przerazić Mgłą Strachu i innymi efektami, których pan Terrill może dostarczyć w swym zamku. Jestem pewien, że odniesie wielki sukces.

- Hm... - Alfred Hitchcock uważnie badał wzrokiem pulchnego młodzieńca. - Podejrzewam, młodzieńcze, że twoja żywa wyobraźnia ma duży udział w tym planie. Ale pomińmy to milczeniem. Trzej Detektywi dokonali chwalebnej pracy, mimo że nie znaleźliście dla mnie domu nawiedzanego przez autentyczne duchy. Ja dotrzymam słowa i przedstawię waszą przygodę, kiedy zostanie napisana.

- Bardzo panu dziękuję - powiedział Jupiter. - To ma ogromne znaczenie dla Trzech

Detektywów.

- Jeśli to może być dla was pocieszeniem, znalezienie prawdziwie nawiedzanego przez duchy domu okazało się niezwykle trudne i zarzuciłem ten projekt. Powiedzcie mi jeszcze o waszych dalszych planach.

Pete miał ochotę powiedzieć, że planują trochę ciszy i spokoju po momentach udręki w Zamku Grozy, ale Jupiter go wyprzedził:

- Jesteśmy detektywami, proszę pana. Natychmiast zaczniemy się rozglądać za następną sprawą.

Reżyser spojrzał na niego przenikliwie.

- Mam na uwadze coś, co powinno was zainteresować - zaczął.

Jupiter wyprostował się momentalnie i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale reżyser huknął na niego:

- Nie tak szybko. Młody człowieku! Podzielę się z wami tą informacją pod jednym warunkiem.

- Jakim, proszę pana? - zapytał Jupe.

- Pod warunkiem, że dasz mi solenne słowo detektywa, że nie będziesz mnie zmuszał szantażem do przedstawiania waszej drugiej sprawy, jak to zrobiłeś za pierwszym razem. Co oznacza, że nie będziesz napastował mojej sekretarki i nigdy więcej - pan Hitchcock wzdrygnął się - nie będziesz tak obrzydliwie naśladował mojej osoby.

- Zgoda - powiedział Jupiter potulnie.

- Świetnie. Doszliśmy do porozumienia. Mój przyjaciel, dawny aktor nazwiskiem Fentriss, mówił mi o osobliwej sytuacji, w jakiej się znalazł. Mianowicie, zaginęła mu papuga, do której był bardzo przywiązany. Policja nie okazała się pomocna. Wykazaliście się, muszę przyznać, pewną pomysłowością. Może wy zdołacie mu pomóc. Chyba że... - tu pan Hitchcock rzucił im spojrzenie z ukosa - polowanie na papugę jest zbyt banalnym zadaniem dla Trzech Detektywów.

- O nie, proszę pana! - tym razem Pete zdążył dojść do słowa. Jeśli już muszą koniecznie zabrać się od razu do następnej sprawy, szukanie zaginionej papugi będzie dla niego dostatecznie emocjonujące w tej chwili.. - Nasze motto brzmi: "Badamy wszystko".

- Z chęcią pomożemy pana przyjacielowi - dodał Jupiter.

- Jest jeszcze coś, o czym nie wspomniałem - powiedział reżyser. - Otóż, papuga się jąka.

- Jąka się? - powtórzył Jupiter i oczy zabłyśły mu zainteresowaniem. - Nigdy nie słyszałem o jąkającej się papudze. Chodź, Pete, mamy naszą drugą sprawę!

- Chwileczkę! - zawołał pan Hitchcock. - Przypuszczam, że przyda się wam adres i numer telefonu pana Fentrissa. Proszę, tu zapisałem. Ja tymczasem zatelefonuję do niego, żeby go ostrzec, że jego spokojne życie rozpadnie się w gruzy. Wkraczają w nie bowiem trzej śmiali detektywi.

- Dziękuję. - Jupiter uśmiechnął się i schował kartkę z adresem do kieszeni. Byli już z Pete'em przy drzwiach, gdy się odwrócił. - Damy panu znać, jak nam idzie.

Pan Hitchcock uśmiechnął się lekko, gdy zamknęły się za nimi drzwi. Niezła historia - pomyślał. Tajemnica Zamku Grozy.